

OBRAZ
NEDZY LUDZKIEY:
TRAGIKOMEDYA
W PIĘCIU AKTACH.

Ant ————— *Mas Family*



Nakładem Towarzystwa Litteratów
w Polsce ustanowionego.

W WARSZAWIE
w Drukarni Mitzlerowskiej.

1768.

AKTOROWIE.

NĘDZARSKI *Szlachcic.*
KLARYSSA *Zona Nędzarskiego.*
MARYSIA *Corka.*
LITOSNICKA *Wdowa.*
KOCHANSKI *Starający się o przy-
jazn Marysi.*
STARUSZKIEWICZ *Oyciec Kochanskiego.*

Infygator.

4 Żołnierzy.

Dziecię igoczące w Alkierzu.

Scena w Kosmopolii Mieście
Sarmackim.

BIBLIOTHECA

NIY. & IAC. EL.

ORAC. VIENSIS

95949



AKT I.

SCENA I.

MARYSIA y LITOSNICKA.

Litosnicka.



UPraszam W. M. Panny iak
o naywiększą Łaskę, abyś
raczyła przyjąć mile teli-
che usługi, z ktoremi się
oświadczam. To prawda,
żeś się W. M. Panna w takim stanie
rodziła, żebys nie powinna znaydo-
wać w potrzebie y biedzie. Jac wpra-
wdzie uboga Wdowka pracą rąk
żyjąca, ale mam pełne politowania
serce, a ieżeli kiedy czułam w sobie
chęć iaką poratowania w ciężkies po-
trzebie, to dziś naygwałtowniey z in-
klinacyi do Ofoby W. M. Panny. Jesteś
W. M. Panna z natury tak łagodną, tak
dobrotliwą, tak.

A 2

Marys-

Marysia.

Moja Sasiadko serdecznie Kochana. Jakże mię ta uprzejmość Waszeczki obowięzuie. Jakżebym sobie życzyła mieć tyle zaślug, abym iey była godną! Jakżebym sobie życzyła mieć sposob iaki zawdzięczenia

Litosnička żywo mowi.

Niczego mi nie trzeba.... bez interesu służyć... Szczegulnie W. M. Pannie służyć dla ukontentowania, które czuig że Jey służyć... Ah! ieszcze W. M. Panna dobrze nie znalaz moich Sentymentow...

Marysia.

Już ci ja towidzę dobrze moja Panni, że się interessem nie uwodził, gdy byś była intereslowana, to byś się nie przywizywała do naszey nieszczęśliwey Familii. Ale iakom rzekła, nie nam teraz nie brakuie, y to naczynie wody, coś mi Waszeczki dziś rano przynieta, ieszcze wystarcza.

Litosnička.

Bywayże zdrowa moja kochana Pannienko. *(sama do siebie mowi)* Tęgo od trzech dni mroz straszny dokuczca. Ta tu uboga Familia bez opalu zmarznie.... nuszę się poltarać.... *odchodzi.*

Mary-

Marysia.

Adieu moja kochana Pani.... Miłyż Boże! y także politowanie nad cudzym nieszczęściem nie mieści się tylko w Sercach Ludzi ubożuchnych! Nędzarze cieszą biedę swoię iak mogą, y iami się ratuią w potrzebach swoich, widząc miłotnych y bogaczow na siebie niemilostierdzie! Zwierzaią się iedni drugim swego niedostatku, szukaiąc niby iakiey z kompassyi y politowania ulgi, a my Szlacheckiego Urodzenia pyszałki iedno ambitu igrzysko, który nas nie odstępuie razem z fortuną, choć iuż na ostatnim mizeryi stopniu: nie smiemy oczu zastanawiać nad naszym niedostatkim... Ale co widzę! Kochanski się powrocil z drogi! Czy ieno nie miłość go do mnie zwabiła? Ale co ma miłość za sprawę z biedą, z nędzą, z niedostatkim.

SCENA II.

MARYSIA y KOCHANSKI.

Kochanski.

Ah! nieszczęśliwa Marysiu! gdzież się to tu mieścisz? Jakaż to gospoda dla zacnego urodzenia Pannienki? Zbiegalem cale Miasto, y ledwiem się dopytał.

tal tego Kacika. Ah Serdecznie kochana Marysio! Trzy miesiące oddale-
nia się, czyż mnie nie pozbawiły tego,
co mi jest na Świecie najmiłsze? Czy
mnie nie zarzuciłaś w niepamięci? Czy
moja osoba jeszcze jak była dawniej,
tak y teraz W. M. Pannie wdzięczna?

Marysia.

Zródło naszej wzajemney inklinacyi tak jest czytte, jak moje Serce, W. M. Pana statek jest mi rękoymią jego szczerości, y byłabym iey nie godną, gdy bym się z niey nie cieszyła. Ależ nie stety! (*wzdycha*)

Kochanski.

Ale dla Boga! coż to znaczy to głę-
bokie westchnienie! Nie odwracay W. M. Panna pięknych swych oczu od tego, który z ich weyjrzenia jest uszczęśliwiony. Ah! przebog! co widzę! czytam na twarzy imprezji Merancholij! Oczy W. M. Panny we izach się nurzają... ięki gwałtem się dobywają z pierśi. Marysio! Moja serdecznie kochana Marysio! czyż możesz mieć co tajnego y sekretnego przed twoim duszą ziednoczonym amantem, który cię nadewszystko kocha? Czy możesz W. M. Panna powatpiwać o moim szczerym y statecznym przy-

przywiązaniu y chęci sruzenia iey jako y całej Jey Familji....

Marysia.

! By najmniey nie wątpię.

Kochanski.

Więc tedy racz mi W. M. Panna wyjawić przyczynę swoich troskliwości. Jeżeli nie odważę się: hoyna ręka ugła-
kać tyrannią fortuny, to przynajmniey dobra rada potrafi ostodzić gorycz Sytuacyi waszey.

Marysia.

Gdy bym potrzebowała rady, znalazłabym ją u arcykochanych y kochających Rodziców. Są pełni Sprawiedliwości, y mają mnie jak zrzenie w oku. Przyznam się W. M. Panu, gdyby nie dola moja była mnie sama dotykająca, nikomu bym się iey niezwierzyła tylko samemu W. M. Panu Approbuję ciekawość W. M. Pana, jestem iey wdzięczna, ale nie mogę Sekretu wyjawić.

Kochanski.

Ah Marysio! y na coż się przyda, to tać, co oczy widzą? Wiadomo mi zescie przegrali sprawę waszą, dla kto-
rey tu przybyliście. Wiadomomi, że w jedney waszey majątności ogień wszystko zagarnął znacznym pożarem, a w dru-

a w drugiey nagła powodz wszystko za-
topiła, a dowiedziałem się o tych wszy-
stkich przypadkach z cudzych ust, a nie
z twoich Marysio? Odstąpiliście stancyi
przystoyney, porządney, wymeblowa-
ney należycie, a mieścicie się w tey
mizerney Chatce, ani ruchomości, ani
Czeladzi tu nie widzę. Y iakże się nie
mam domyslać co to znaczy!... Ma-
rysiu czy szacujesz moję przyjaźń?

Marysia.

Bardziej niż kogo żyjącego po Oy-
cu y Matce.

Kochański.

O toż racz sobie przypomnieć na-
sze wspólne przysięgi, zechciey zwa-
życ obowiązki y prawa, które miłość
kładzie na moje Serce, a osądź, co mogę
zrobić dla was w terazniejszey niezczęs-
ney Sytuacyi...

Marysia.

Kochasiu! wiesz o tym dobrze, że
cnoty twoie są głęboko wyryte w pa-
mięci mojej! Co mówię! Serce moje
konwersacyi twoiey powabem pocią-
gnięone zapomina, żeś my fami, y że
nóc się bliża *(chce odchodzić ale Ko-
chański ją przytrzymuje.)*

Kochani-

Kochański.

Ah czegoż się lękać możesz? Głos,
wyrzucenie, mowa twoia niewzniecają
we mnie tylko głęboki a uczciwy respekt.

Marysia.

Nie mogę się lękać tego, ktorego-
by mi rada miała wszystkich moich akcyi
Świadkiem... ale sama siebie respekto-
wać muszę. Y gdybyś mię W. M. Pan
dobrze znał, y wskroś moje Sentymenty
przenikał, nie domagał byś się ofia-
ry moiej w tey mierze delikatności.

Kochański.

Alę gdzie moy Przyjaciel JMć Pan
Nędariski? gdzie poczciwości zwiercia-
dło Klaryssa? oboie nie wracają się do
Domu przy nocney porze! pod taki
czas kiedy tegi mroz każdego przy-
trzymuje przy Kominie y piecu! da-
wniey niezwykli byli odstępować cię
na krok kochani Rodzice.

Marysia.

w krotce się wrocą: tak mi dyktują
Serce, skoro przybędą, będzie W. M.
Panu wolno rozmawiać ze mną w Jch
przytomności, a mnie wolno słuchać
tego rozmowy.

Kochani-

Kochanski.

Slucham tedy rozkazu... Ale i-
kiesi kania slyszę w tey bliżkicy izdebce?

Marysia.

Są to ięki mego Braciżka, choruje
od szczęściu dni, y ia go doglądam.

Kochanski.

Niechże uściskam y ucałuję to pię-
lno dziecię.

Marysia.

Y także mię żokatz zasmucać? Al-
boż W. M. Pań Sędziż, że nie dość
smutnie czynię gwałtu y ciężkości w nale-
ganiu o czystanie się. Powrócił W. M.
Pan y chwili, y przywitał całą naszą
Familię, która W. M. Pana szczerze ko-
cha, y których dolegliwości wzbudzą
w Sercu W. M. Pana dośkliwości.

Kochanski.

Już tedy mażę odsyć. Adieu. Tak
nie mażę odłupić waś w niezczę-
śney Sytuacyi ważey, żebym chętnie
czekał na Oycę W. M. Panny u drzwi,
nie uważając na żimno, gdyby mię nie
pocięgała obligacya przywitania Kocha-
nego Oycę mego, ktoregom ięszcze
Nog od powrotu nie uściskał.

SCE

SCENA III.

Sama *MARYSIA.*

Marysia.

'Oddalać Kochankę od siebie dla u-
szczęści, jest to ciężki y gwałtowny
plci moicy oblig. Ale coż dopiero tać
mu Sytuacyę niezczęśliwą, która Serce
moie męczy y dęczy? Sekretem po-
kryć nie miłosierne uboństwo y nie do-
statek, dla ktorego przyjdzie mi go po-
stradać na zawżę. Co mówię, dla
wstydu fakryfikować w ostatnim upadku
serdecznie kochanych Rodziców...
Mocny Boże! niewiem w którą stro-
nę się obrócić... Ah! jakież smutne
przeczuwanie moich rozpaczy! Gdyby
był nalegał moy Kochanek ięszcze mo-
ment iaki, byia bym mu wszystkie ta-
jemnicę wyjawila, a tak pierwży raz w
życiu italabym się Oycu Kochanemu nie
pozłufzną, Oycu tak dobrotliwemu...
tak kochanemu... tak czci y polzano-
waniu y posłuszeństwa godnemu...
Ah! podobno iuż do tego przyjdzie,
że odkryję kochankowi memu y Przy-
jacielowi naszemu niedolę y nasz niedo-
statek! ani wątpię, że iuż daley Oyciec
nie rzecze, że to jest przedawać Córkę
wyda-

wydawać ją na sztych dobrodziejstwom
y hojnościom młodzika, właśnie iak gdy-
by się dobroczynność mogła mieścić z
podłością w jednym Sercu; a ieszcze
w Sercu Jmć Pana Kochanickiego. Ah!
gdybym takie miała mniemanie o Ro-
dzicu moim, iakzebym była nader nie-
szczęśliwa,

SCENA IV.

KLARYSSA y MARTYSIA,

Klaryssa.

Ah! moja kochana Corko!

Martysia.

Ah! moja serdecznie Kochana Ma-
tulenku!

Klaryssa.

Ah! dla Boga iakżeś mi się to zmie-
niła! ah iakżeś zbladła! Na coż by mi
się przydało daley o tym milczeć! ser-
ce mam scisnione widząc cie tak zne-
dzmała! Jakże się ma twoy Braciszek?
ślabość jego wieku y gorę biorąca cho-
roba wymaga pilniejszego niż kolo
ciebie starania, ale waś zarowna y nie-
rozdzielnie w sercu moim mieszczę.
(całuje ją)

Mary-

Martysia.

Gdybyś wiedziała serdecznie Kocha-
na Matko, co wycierpiało to głodem
zemdłone dziecię! wszystkie iego myśli
dążyły ku Tobie Matulenku! Ito razy
powistarzał te słowa: Ah! kochana Ser-
decznie Matusia fatyguie się dla mnie!
poszła kwestować u krewnych iaki dla
mnie posiłek. . . Ah! iakże mi Jey żał!
Nieochybnie iak powroci do domu bę-
dzie zemdlona z podiętey dla mnie fa-
tygi. Przecieżnie znać przy tak ży-
mney porze, a to wszystko dla mnie..
ktorym się wniczym nie zasłużył dla
niej. . . Ale się bardzo lękam, żeby ten
posiłek nie był opozniony. iuż to po-
no będzie po czasie.

Klaryssa.

Ah! miły Boże nie wyzebrałam za-
dnego dla Kochanego dziecięcia posilku!
Będę go całowała, sciskała, do serca
przytulala, łzami oblewała, bo inżzego
dla niego nie mam pokarmu y napoiu.

Martysia.

Ah! przebog! co się dzieie! wczor-
ay nam na wszystkiekim nie zbywało,
a teraz nadzieia pelźnie nawet wprzy-
tlezle czasu. . .

Klaryssa

Klarysa.

Opowiem ci wszystko... Wybiej sobie Gorko okropne myśli z głowy... Ale y fama cznie wielkie w fobie pomiżanie... Radabym, żeby zaczęło świtać, zamiast że się zmierzchno... Naywiększe nieszczęścia iako y naywiększe zbrodnie zwykle przypadają pod nocną porę. (*Bieży do Syna.*)

Marysia.

Y także wszyscy to pomrzemy głodem! podziem śmierci tak podłym... A za coż podłym? a iakże nazwać przyjdzie Śmierć z lubieżnych zbytków, czyli z wielkich zbrodni zaciągniłą? Owoz ostatni szczętek znaczney fortuny (ktorey nie przyiażni Oycu memu zaradził:) Kijka węgla w popiele, do których już nie mam co przyłożyć z drzewek... Lampa dogorywająca bez światły swym cieniem przymnaza okropności... Trołki Matki Kochaney, ięki kochanego Braciszka... Smutny presentyment moich roślaczy... Ah! ta dogorywająca lampa czyż to nie pochodnia przyślych naszych pogrzebow! Ah! Boże Miłosierny... odwrac odemnie te myśli trapiące y trołkiwe...

Niech

Niech się wcale zgadzam z Twą wolą świętą.

Klarysa.

Moy mąż czy nie postał tu od fatego rana?

Marysia.

Nie postał Matulenku.

Klarysa.

Y gdzie się bawi przebog!

Marysia.

Wychodząc rzekł to naś te słowa: wszelkimi sposobami poydę starać się o ratunek w naszym ciężkim niedostatku... Coś nawet przebąkiwał, że się nakłoni na akcyą iakąś podłą, aby naś wydzwignyl z tey to ni pod ten czas zimney aeryi y tęgich mrozow... Jakże ciężka rzecz co uprosić od tych, którzy biedy nie znają, y niczego nie potrzebują.

Klarysa.

Zwłaśnego doświadczenia wszelką tracę nadzieję! Noc ciemna y okropna, a mąż moy nie przyśpiesza powrotu, aby swym obliczem rozweselił w smutku y ostatniey rozpaczy będącą samlitą. Ah! dla Boga! coby było z nami! gdyby zrazony nie litościwym tyranitwem

Ludzi

Ludzi zakamiałych miał naś odstąpić,
a wcale odstąpić w tym niedostatku!

Marysia.

A Matulenu wybiy tę myśl z głowy!
maż serce jego w ręku.

Klarysa.

Gdyby (ubron Boże) rozum pod
ciezarem nieszczęśliwości upadł...
Wielki smutek w waryacyą wprawia...
Tyle Filozofow zachwalają samoboy-
stwo... Tyle widzimy przykładow,
tyle czytamy y podobnych przypadkow...

Marysia.

Nie lę kay się tego Matulenu...
O to przybywa do nas.

SCENA V.

NĘDZARSKI, KLARTSSA

MARYSIA.

Klarysa.

'Kochany mężu!' y ktoż cię tak długo
przytrzymał?

Nędzarski.

Opowiem ci skoro dziecię uściskam
y ucałuję.

Klarysa

Klarysa.

Jak sądzisz Corko? czy z próżnemi
rękami powrocił?

Marysia.

Prawdziwiem nie uważała rąk, alem
tylko patrzała na oczy Jego pełne mi-
łości y dobroci, tak właśnie iak twoie,
kochana Matulenu.

Nędzarski.

*w posrzod ich stanawszy y raz na żonę dru-
gi raz na Corkę pogładając.*

Śluchaycie najmilsze Przyjaciolki,
spieszylem się do was z powrotem,
aliści widzę człeka na ziemię upadłego
w samym rynku... Poznałem go, że to
był ów główny nieprzyjaciel moy, kto-
ry mię fałszywym udaniem y porwa-
rzami zruynował w Kredycie u Dworu,
co było pierwszym nieszczęśliwości
moich żądałkami. Zdrętwiał był z tegie-
go zimna, y ledwie dyżał. To widząc,
iż wszyscy go miłali y unikałi, lubo
sam przeięty mrozem, iedną ręką dzwi-
gam go z Ziemi, a drugą odwracam
wozy y Karęty któreby go były roz-
tratowały. Biorę go na ramiona, y nio-
sę go do Kowala blisko mięszkającego,
abym go przy ogniu w kuzni mogli ro-
zegrzać y ożywić.

B

Mary-

Marysia.

Po tey akcyi uznawam miłosiernego mego Oycy.

Klarysa (razem)

Po tey Akcyi domyślam się miłosiernego mego męża. Taką Cnotą tak moje serce rozpalasz, że chocia żeś tak nie-szcześliwy między wszystkimi żyjącymi, obrałabym cię sobie za oblubienca, gdybyś już nie był moim mężem. O! iakże mię ta twoja cnota wysoka w zadumienie w prowadza! Ale iakż fatalność tyranika losow życia? Twoy przesławowca znayduje w twoiey ołobie dobroliwego Przyjaciela, a w ten sam czas twoy Syn niewinny... twoy Syn umiera z zimna y głodu.

Nędzarzki.

Kochana Zono. Co mówisz? Alboż moje dzieci nie uśmierzyły głod frogi chlebem, po któryś chodziła do swycy dawnych Przyjaciółek?

Klarysa

Zwierzyłam się pod Sekretem Xiędzu Piebanowi niedoli naszej, zebrząc, żeby nas zaratował z kasy ubogich Parafianow, ale mi się wyekuzował naszymi ubogich zacnych Family, którym

rym się w podzielnym wyprozniła... Tylko mię Kondolencyami zbył y obietnicami.

Nędzarzki.

To mi nie dziwno, Daleyże.

Klarysa.

Potym nawiedziłam owę Panią bogatą, co się oświadczała ku mnie z swoią przyiaznią, kiedyśmy były z sobą w Kłaśtorze Panien Wizytek, y potym kiedyśm opływała w Szczęściu y dostatku.

Nędzarzki.

Y coż? czyś opowiedziała iey naszą Sytuacyą? serce iey czy się nakłoniło...

Klarysa.

Rzekła mi, wszystkiemu temu wierzę, co mi powiadał y ieszcze sobie więcey o przykrości nieszczęścia waszego imaginuję. Miałabym chęć nieskonczoną was podzwignąć. Jakże to chwalebna jest akcyja rękę podać upadlemu! Ale czasy teraz nieyższe ciężkie, y hańbna drożyzna niepozwalają...

Nędzarzki.

Y także Boże, który się mianuiesz ubogich Oycem, masz o nich stąranie?

Klarysa.

Ah! mężu! co czynisz? Nie tak się lekay nas postradania głodem, iako u-

tracenia Łaski Boga złorzeczeniem. Bog
mściwy furówo karze szemrania choć
w rozpacz wybluznione. Ale ty mężu
(niezczęśliwy Oycze) czyś nigdzie nie
znalazł wnętrzości y Serca do polito-
wania naklonionych.

Nędzarzki.

Jużem wszystkie utracił nadzieie.
Widzisz mię opuszczonego od przyja-
ciół, wzgardzonego od Współkonkur-
rentów do wizekiego urzędu y wa-
kanśu, beż żadnego absolutnie sposobu
y projektu. Nie mam już nic do prze-
dania tylko tę podłą sukmanę, która
mię okryć ledwie potrafi, nie żeby mia-
ła ogrzać. Szabla moja ostatni zaśczyt
ubogiego Szlachectwa zastawna u Lich-
wiarza, poszła dwa dni temu na posi-
łek ołtarniego mizernego obiadu na-
zego.

Klarysza.

Beż żadnego sposobu! beż żadne-
go projektu!

Marysia.

A owa piękna Pani, ktorey Córki,
Matulenku, w naukach informujesz se-
kretnie. Ponieważ jest Matką niepo-
dobną, żeby nie, miała mieć wną-
trzości Macierzynskich.

Klarysza.

Klarysza.

Byłam u niey dzisia y o zwykley
godzinie. Po skończoney lekcyi, pozwo-
liłam sobie szczegulney niezczęśliwych
osób Konfolacyi, y opisując moy stan
mieszczęsny rozplakałam się rzewliwie.
Nie stety! Niespodziewałam się, aby ta
akcya miała być w oczach czyich zbro-
dnią!

Nędzarzki.

Co słyszę zbrodnią! Miłyż Boże!
Krolewiczowie y bogaczow Synowie
powinniby Ludzi niezczęśliwościami
ogarnionych przyimowac za Metrow
à nie podłych zausznickow, ktorzy ich
dobre serce psują. Pod takimi Ment-
rami staliby się ludzkiemi, hoynemi, li-
stosciwemi. . . .

Klarysza.

Z tym wszystkim owa Dama nacy-
lona w poręczowym krześle, upiżmo-
wana, wyblechowana, umalowana, y
wypiękrzona, iako Komedyantka iaka,
zacznie wymiatać na mnie wszystkie te
połpolite wyrzuty, ktoremi zwykły
wytrząsać osoby przez podłość serca
zbogacone nad uposledzonym w fortu-
nie. Rzekła mi głupie y zuchwale,
że icy dzieci nie są takicy Kondycyi,
żeby

żeby miały znać ubogich, y poznawać skutki uboſtwa, że nic nie maſz podleyſzego, iako ſię na takiey zaſtanawiać miżeryi, że takie załoſne ſkwierki y Kweſele, ktoremi iey dzieci bawię, na nic ſię nie zdadzą, Chyba żeby weſnie marzyło im ſię o biedzie y nędzy, że ich ſtan nie pozwała im być tak ludzkimi iak ieſt lud gminny poſpolity. Te uſłyszawſzy wyrzuty, zaczęła ją przepraſzać, a oraz proſić o Kwartał pieniężny. Ona nie ſłuchając, ze Smiechem ſkoczy pędem, ſkoro uyrzy wchodzącego do Izby Kawalera, tak przepyſz nie iak y ona wyſtrojonego, a ten Kawaler był to twoy Synowiec iedynak.

Nędzarſki.

Czy wierzyſz temu kochana żono? że na ſtronę uchyliwſzy wſzelką zemſtę, nawiedziłem iego Oycę, ſtarſzego mego Brata, (odrodnego Brata) naywiękſzego niego przezladowcę! przez zadróć którą w ſercu iego dzikim wznieciły Matki naſzey dla mnie preferencye.

Klaryſfa.

A gdzie żeś moy mężu mogli zaſtać tego, który tylko ugęſzcza do Pałacow Panow majątnych? do ktorych nędzarz nie ma przyſtępu.

Nędzarz

Nędzarſki.

W Jego właſnych progach przyſzło mi ſię upokorzyć. Po trzy godzinney importunii y przeczekaniu na audyencyą, upatruię go z Antykamery wychodzącego z licznych gmachowz czołem w gorę wynieſionym, ſkoro mię uyrzał, wzdrygnął ſię z gniewu, y wſkoczył do Karety, wołając na Woźnicę od ſiebie uczynnieyſzego, aby Konie zaciął, y tak mię zoſtawił że wſtydem wpoſzed podłych ſług ſwoih bogato przybranych.

Klaryſfa.

Ah! iuż też to oſtatni ſzczętek ſromoty,

Maryſia.

Nie doſć, że naſ opuſzczają, ale ſię z naſ ieſzcze urągają!

Nędzarſki.

Y coż poczniemy pod tę porę nocy okropney?

Klaryſfa.

Już nam drewek nie ſtało na ogrzanie zemdlonych członkow.

Nędzarſki.

Czyż można będzie oko zawrzeć przy tym chłodzie y głodzie. Głód, pragnienie,

nie, wstyd rozpacz, zimno, strach, iękanie dziecięcia...

Marysia.

O Kochani Rodzice y na iakiż przychodzie koniec! y cożescie mieli za przyczynę nie dopuścić mi, żebym was pracą rąk moich żywiła. Nie masz wstyd dorabiać się chleba dla tych, których do kochania y natura sama y wdzięczność pociąga. Nie stety! wychowaliście mię, jako pupeczkę iaką w pieńczotach, a ta się na nic nie przyda. Teraz z głodu giniecie, a ja bym była mogła was konserwować pracą rąk moich. Zazdrościliście mi chwały y chluby, którą bym była miała zatrzymując przy życiu tych, którzy mi dali życie,...

Klarysa.

Zaniechaj już tego narzekania, nie czyn się ięszcze kochanszą Sercu memu przez takie wymowki pod ten czas, kiedy mi cię utracić przychodzi.

Nędzarzski.

Słuchaj Marysiu. Jesteś młodą, a mogę przydać, w tey Sytuacyi, która nic nie pozwala chlubić... Jesteś y młodą y piękną. Te awantaze przy szczęściu y fortunie nie są niebezpiecznymi.

Glupi

Glupi respekt, który zwykle mają ludzie na bogactwa, rozrywki ustawiczne, wykwitłość w strojach staia się przeszkodą zdradzie kawalerow w zubożowaniu Panienek. Ale czym się oprze wyuzdaney Młokołkow swywoli Panienska ubozuchna, która mając wstyd na czele, a łzy w oczach, szuka Kupca na pracę rąk twoich? O Marysiu, Marysiu! wiedz o tym, że znajduia się ludzie tak bezecni y bezbożni, co nie mogą uyrzyć Krasney urody w nędzy y niedostatku, aby zaraz nie mieli zapalać się lubieżnymi żądzami w sercu.

Marysia.

Ach! iacyż to ludzie nieznaomi.

Nędzarzski.

Ponieważ raczey ludzie z bogaceni z dzierłtwami swych Przodkow, ludzie nie znający inszego chuci hamulca, tylko zamiar ich władzy, miasto prawa rygornu doznawaiący co dzień skutku niekarności, zwykle za kredytem idący, są to wyuzdani na wszystko złe, debosznicy zwykli łączyć wespół w imaginacyi zepsowaney, nieszczęśliwość sytuacyi Szlachcica z podłością urodzenia gminnego, a co nie znośnieysza, mają sobie ubogie osoby za holdownicze swym prze-

przemierzłym nie godziwym plezyrom... Ah iakże mi żal żem się tu sprowadził do tey stolicy, gdzie zbytki gorę wzięły nad Cnotą, gdzie ludzie na kolana padają przed nową modą, gdzie zacność y godność przy chudobie staie się nikczemnym igrzyskiem, y dzieci przy pierśiach cackiem, Ah! iakżem poblądził! zdawało mi się że mi tu uydzie, wzgardzać złotem dla cnoty, fałszywą polityką dla uczciwości obyczajow, obcowaniem z Panami dla prostey y spokojney przyjazni! Zginałem dla zbytniego bezpieczeństwa! y dla statecznego uporu. Ktory gardziłem ślepą fortuną y iey nie uczciwemi drożkami... Zginałem nie rozważając rozmyślnie przepaści, w którą mię prowadziła ściana cnota. Miłyż Boże! Człowiek który się nie rodził na to, żeby się mostem stał przed ludźmi nikczemnymi, bywa już przymużony do tey serca podłości, a ieszcze powątpiwa o swoiey niedoli.

Klarysa.

Gdy byż przynajmniey naś nawiedził ow poczciwy Pan Staruszkiewicz hojny y litościwy, co ongi naś obdarzył, a w cieniu nocney pory zataił y Imię y szczodrotę swoię.

Mary-

Marysia.

Pan Kochański zawsze w przedsięwzięciu swey ku mnie inklinacy stateczny był utay w krotce przed twoim, Matulenu, powrotem.

Klarysa.

Pan Kochański zas? Ah! kochanymężu! Bog go nam z nieba spuścił: Już od tad nie upatruy w nim konkurenta o naszą Corke, ale poufałego Przyziela twego. Alboż ci nie ma wielkich obligacyi? Nieznawszy go, wyrwałeś go z rąk nieprzyjacielskich Krwią zbrozonego, wszakżeś go gwałtem do obozu zaprowadził razem z Proporcem co go nie chciał odstąpić do samego życia schyłku.

Nędzarzski.

Ah! co mi na pamięć stawiaś dzień ten feralny? gdzie sława moja tak była publiczna, iako y odmowienie stopnia mnie przyzwoitego y dobrze zaśluzonego. Ah! Ah niestety! gdyby mnie nie był potkał ten affront, nie porzuciłbym był aż do grobowey deśki rzemieślnika woiennego; ta ręka spolnie z ochotnym Sercem ieszczeby się zaślugiwała Oyczyźnie, miałbym rangę, Kapitulatory, sposób życia do zgonu, Corka na-

sza

sza miałaby posag... Niemorzylibyśmy się głodem...

Klarysa.

Jdźże już do tego Przyjaciela twego, oświadczyć mu się z affektem...

Nędzarzki.

Toc już zezwolic muszę... Ale nie wiem jego mielzkania od tad, iak raniowym zostawizy, porzucit służbę woienienną...

Klarysa.

A ty Corka nie wiesz o nim?

Marysia.

Nie wiem, y nie znam tylko, cnoty jego, y... miłość.

Nędzarzki.

Toc już cały świat zprzysięgił się na naszą zgubę!

Klarysa.

Ah! co słyszę! Dziecko ieczy y szlocha... Ah! co widzę! u Corki iża iżę pobila!

Nędzarzki.

Ah! iakas mi się fatalność w zmyślach pomieżanych snuie!

Klarysa.

To masz czegoś szukał w swym uporczywym punkcie honoru! Szukay teraz nielczęśny Oycze Iposobow dzwignienia

nia się od ostatniego upadku. Biłeś czołem przed tym bożyszczem, y Familią całą twoją temu sakryfikowales balwanowi, niechże cię teraz z tey toni wybawi.

Nędzarzki.

Niestety mnie nielczęśnemu! Ożale wkroś przenikające!... Odbieram złorzeczenia od osoby, która mi na świecie nymiliza!

Klarysa.

Okrutny Tyranie! Y toż to pomysłne szczęście, któreś mi obiecywał stajając się o mnie, wżamian za czylte moje ku tobie miłości płomienie? Y także na to szczegulnie rozżarzyłeś zapaly miłości, żebyś tym bardziey zahartował to serce, y także uczyniłeś mię Matką? Żebym się zapatrywała na dzieci głodem z morżone y żimnem zmrożone?

Nędzarzki.

Ah! biada mnie!.. Gdybym słuchał teraz poduszczenia ostatniey rozpaczy, przyszłoby pono...

Marysia.

Ah! Tatulenku kochany! Ah! Miła Matulenko!

Nędzarzki.

Nędzarzki.

Ale dla Boga! gdzież nas porywa ślepa miłość? O! moje Serce! o! moja duszo! O! Towarzystwo serdeczna! Y także między nas się mają płatać przy-mowki, y wymawiania, iakie więc by-waia w gminnych stadiach, ktorych to uboſtwo pochodzi z oppreſyi y krzy-wdy, albo z gnuſności y głupich zbyr-kow? Y także naszą niedolę uczyniemy nieznośniejszą? y przydamy iey więk-szą gorycz wyrzutami iadowitemi (złych ludzi ſzczegulną ulgą) pod ten czas kie-dy Serce ſobie przychylnych nie ſtarga-ny związek ſtać ſię może iedyną nędzy naszej folgą.

Klaryſja.

Przebacz, przebacz proſzę kochany męzu! w ostatnim ſtopniu nędzy y za-lu poſtawiona zapomniałam o twoiey niezgruntowanej Cnocie! Silna ieſt two-ia Dusza, y cnota iey ſtanie za wszy-ſtko! Weyrzałbyś niezmrūżonym okiem y na śmierć ſamę nic nie bledniejąc, by-lebyś ją otrzymał z rąk czei y honoru... Ale pleć moja ieſt boiaźliwsza niż two-ia... Jeſtem y Niewiaſtą y Matką... Ah! co widzę w oczach Kochany Corki!...

Znaki

Znaki bliſkiego omdlenia... Ah! nie potrafię daley znoſić tey na ſercu tyran-ni, umierać mi należy pierwey...

Nędzarzki.

Ah! pieſzczoty ſerca mego ulubio-na Corko! Y czemużeś ſierodziła z Ro-dzicow tak nieſzczęſliwych! tak od ſwia-ta całego opuſzczonych!

Maryſia.

Ah! nieſtety! wypuść mię Oycze kochany z pamięci, a tylko myśl o Bra-ciszku, ktorego ſtokroć powtorzone ięki coraz mnieyſzą czynią przywrocenia do zdrowia nadzieię.

Nędzarzki.

Słuchay moje Serce! Jeſzcze ſię znay-duią na Swiecie cnoty czei godne choć rzadko... Jeſzcze można uyrzeć ſerca naszym podobne! ieſzcze ſprobuemy, a Koſaczmy do drzwi ulitowania... Jdę... biegnę...

Klaryſja.

Zostań proſzę, mnie należy mieć ſtaranie opokarm dla Dzieci.

Nędzarzki.

Nie fatyguy ſie zaklinam, mnie na-leży przyſparzać y Dom opatrywać po-trzebą.

Klaryſja

Klaryssa.

Głos Matki bywa dotkliwszy.

Nędzarzki.

Wymowa Oycowska miękczy y głaszczce Serca.

Klaryssa.

Stoy dla Boga, nieznosna zimna aerya znówu cie nabawi Choroby, ktora cie dopiero opuściła.

Nędzarzki.

Niepozwole że byś miała wychodzić o tym czasie, Białogłowa podaje się różnym przypadkom chodząc po nocy. Nie należy ci odstępować Dzieci, ktorych jesteś jedyną pociechą y Konsolacją. Podz do łóżka Kochanego dziecięcia, ty kochana Corko... Nie przeźdużę z powrotem (*wychodzi.*)

Klaryssa.

O! Boże miłosierny! Oycze y Opiekunie ubogich! trzymay go w twej świętey opiece, y racz go utrzymywaj przy zyciu ... y przy niewinności. (*odchodzi z Corką.*)



AKT



AKT II.

SCENA I.

KLARYSSA z MARYSIĄ.

Klaryssa.

Niech sobie spoczywa Kochane Dziecię! Miłość ku mnie nie zezwala mu milczeć w przytomności moiey, a nazbyt osłabiło, aby mogło utrzymać długą rozmowę...

Marysia.

Oh! Matulenku kochana iakąż ci mam obligacyą, że swą twarzą postawą y łagodnym ułożeniem nie dajesz Braciszkwowi poznawać, że nam y iemu zbywa na wszystkim. Jakiż gwałt musisz czynić naturze, gdy mając serce na pul z żalu rozdwoione, nie pokazuiesz to weyrzenia łagodnością.

Klaryssa.

Nic niemasz temu trudnego co kocha. Miłuey się powinnaś dziwować moim

C

moim postępkom ku Synaczkowi niż kto inny. Ty albowiem Corko Kochana od dzieciństwa samego nie tylko nie czułaś nigdy wstępu, patrząc na ubogich żebraków, ale przy usługach onym miłosiernych łączyłaś zawsze ludzkość y łagodność, co cnotom dodaje szacunku, y niech będzie Bog pochwalony, nie jednego nędzarza hojną podzwignęłaś ręką.

Marysia.

Ah! jeżeli utrata fortuny wycisnęła kiedy gorzkie lzy z moich zrzecnic, to nie dla czego, tylko przeto, że już daley nie przyjdzie naśladować przykładów twoich y kochanego Oycy.

Klaryssa.

Twój Oyciec! można przyznać, że to jest najuczynniejszy z ludzi żyjących. Nie byłoby nad nas szczęśliwszych osób, gdyby nie jego charakter duszy nie przelomany, nie ow surowy statek, z którym wykonywa Cnotę... Ale go nie widać! Jakże jego oddalenie pomnaża moje niespokojności.

Mary-

Marysia.

Dopiero Siodma godzina... Jakże czas z wolna płynie dla tych, co cierpią... Jakże uła nas czeka jeszcze okropnych chwili niż się pokaże jutrzeńka.

Klaryssa.

Może być, że jutro o tey godzinie już pozbędziemy wszystkiey nędzy y kłopotow tego świata! Przyimie nas w swoje łono ta ziemia, która nas niechce żywić dłużej... Przystaniemy się pieścić wzajemnym kochaniem! Już nam nie przyjdzie powtarzać oświadczenia naszych zobopolnych chęci, z życiem ustanie miłość.

Marysia.

A! moja Matulenku! Przebog co styszę!

Klaryssa

Nadstawmy ucha.

Marysia.

Na gwałt dzwonią y bębnią z wielkim ludzi zgłębkiem.

C 2

Klaryssa

Klaryssa.

Ah! podobno pod ten czas, kiedyśmy się mieli za najniezwyklejszych na świecie ludzi, drudzy równie niezczęśliwi, daremnych używają sposobow ocalenia przed wizytko pożerającym pożarem! Pewnie ich lamenta y narzekania przemakają obłoki z gęstym dymem, który je pożera. Zda mi się usłyszeć głos Matki... kornajęcej, a wołającej głośno: Nie mnie ratujcie ale dzieci... Dzieci moje!

Marysia.

A ja w podobney sytuacji zawołałabym: zaniechajcie mnie, ale ratujcie Matkę.

Klaryssa.

Czy mąż Kochany nieposzedł ratować te osoby! Są to jego akcye zwykle! Gdyby domagał się iakiey za przyługę rekompensy, z tyśiąca przyług buznim swoim wyświadczoney, ta byłaby pierwsza z nadgrodznych, w ktorey zostaiemy byłaby wymowką w osądzeniu serca y...

Marysja.

Marysia.

Jeżeli nie dostatek bywa okropny y nieznośny, to podług mego zdania p zeto że człeka czyni nieposobnym do uczynności y hojności...

SCENA II.

NĘDZARSKI, KLARYSSA,
MARYSJA.

Nędzarzski.

(wraca się z pośpiechem y mówi:)

Ah! Zono! ah Corko!

Klaryssa.

Ah! Kochany Mężu! Chwałaż Bogu żeś mi się powrocil! Dzieci nasze czyż będą miały czym się pożywić?

Nędzarzski.

Corko bierz twemi niewinnemi rekami... te dowody moiey ku wam miłości... Oto mąż czym poratować łaknące Dziecię. O to macie chleb na pożywienie... W krotce poydę szukać nie co drewek do pieca.

Marysja.

Marysia.

Naprzód ucałuję te dobroczynne
ręce co nas żywią, odwilżę je (bo
zdrewniały z zimna) łzami wdzię-
czności wytryśnionemi.

Nędzarzki.

Poydźcie, posilaycie się... Ah
sily mnie odbiegają, nogi się chwycią
podeniną... *(upada na ziemię)*

Klaryssa.

Mężu! Kochany Mężu!

Nędzarzki.

O! Boże miłosierny! Boże mi-
łościw oddaję ci głęboką adoracyą!
Tyś przenikał serce moje, gdy ta
ręka szukała sposobu oddalenia śmier-
ci od Dzieci moich mizernych dwóch
niewinnych dusz... Prawo, twe
święte ochajających...

Klaryssa.

Mężu Kochany! ah Mężu! yzkąd-
że te ięczenia tak okropne! Ni-
gdym cię nie widziała w takich za-
lach! Ah przebog! y cożeś złego u-
czynił!

Nędzarzki

Nędzarzki.

Puść mię.. nam racę na twarz
upaść, y błagać Majestat Boski...
Zał ciężki tak mię zaśsepil, zem po-
wąpiwać się zdał o Jego surowey
Sprawiedliwości... Ale uznaję, że
głusznie mię karze. Należy mi w
popieley we łzach pokutować.

Klaryssa.

Y także śmierci szukasz! Y także
chcesz mię zostawić w poniewierce?
Ah! Boże co widzę! Pot zimny mię-
sza mu się ze łzami *(ociera mu oczy)*
ah! iakże zbledniał, iakże mizernie
wygląda: iakże drży iak liście!
Podnieśże się bo mię ta postać twoja
zabija... y coż miałeś za przypa-
dek? y czegoż się mnie wystrzegasz?

Nędzarzki.

Nigdy ci w życiu nie zataił
sekretu... ale mowmy cicho...
t zeba się dzieci wystrzegać... Gdym
z tą wyzedeł, poszedłem do kilku
znaiomych, na Rany Chrystusowe za-
klinając ich o iakie wspomóżenie.
Ah! z iaką energią wyllawiałem
przed ich oczy ostantniąfamily moięj
nędzę

nędżę y niedostatek rzeczy do życia potrzebnych! Jakże serce oycowkie zdobywało się na żywe wyrażenia, na expresse do politowania wzbudzające... Wstyd niewczesny, nie miał memu naleganiu... Sto razy wyiawilem Imię y urodzenie moje, ale wszystko na wiatr poszło... Tak właśnie iak gdyby ciężki y nieznośny mroz miękcząc glazy ykały, zakamiał serca twardolite ludzkie, jedni mię z urąganiem nazwali filutem, drudzy choć mię poznali, mimo przeszli odwracając oczy, wszyscy mię z ostatnią spotkali wzgardą.

Klarusza.

Ah! iakiż z ciebie Symplak! udawaleś się do bogatych, alboż tacy wyrozumieć umieją język Serca? Czy mająż oni wnętrzości Rodzicielskie? Czyż kochają oni co na świecie oprócz Siebie Samych! Trzeba ci było poysć do ubogich Wdowek, do nikczemnych Rzemieślnikow w pocie czoła na chleb pracujących. Tacy, tacy byliby się ostatnią chleba bułką z nami dzielili... Ale czekam końca.
Słucham

Słucham daley, ale strach mi Serce wydziera z pierśi.

Nędzarzki.

Ah! niestety! Spuściwłszy oczy na ziemię we łzach tonące, szedłem wolnym bo zemdlony krokiem do domu, abym ci ostatnie ze łkami powiedział wale, abym wziąwszy dziatki moje serdecznie kochane na kolana, ich łzy gorzkie a niewinne otarłszy, oddawał one Bogu w opiekę iako czyste ofiary, a Ducha wypuścił ostatniego w ucałowaniu ich ust niewinnych... W takich zatopiony myślach zbliżam się do domu, aliści moc iakąś nieznaiona cofa mnie nazad.. padam na wznak y mdleję. W tym obłąkane myśli moje zdają mi się stawiać przed oczy (ó Boże! ó Zono Kochana!) Corkę naszą z głodu dokonywającą... a Dziecko nożem moim w poł pierśi wbitym zranione ze krwią duszę wylewające... W tym Niewiaśta iakąś poważna zawoła na mnie głosem gromiącym y od grzmo-tu huczniejszym tonem: Jam jest Natura. Prawa moje przewyższają wizer-

wszystkie inne. Zdawało mi się, że mię ręką swą podźwignęła z ziemi. W tym skoczę ślepym pędem w ciąsną jakąś uliczkę odludną... Ah! czy byłemże pod ten czas dobrze ze snu ocucony! Czy straszycie jakie nieprzyjaźne wiodło mię z przymusem do...

Klaryssa.

Ah! co słyszę? Ah! nieszczęśliwy Człecze! y coż daley w tey odludney uliczce?

Nędzarzski.

Przechodził tam tędy jakiś starzec z jednym lokajem.

Klaryssa.

To pewnieś go o śmierć przypawił?

Nędzarzski dużo pomieszany.

Co mowisz? Ja... Ja zaś miałbym był gwałt czynić Prawom natury, które przez całe życie były prawidłem serca mego... Y iazbym ofiarował Dzieciom y tobie famey cząstkę chleba krwią zbroczonego ludzką.

Klaryssa

Klaryssa.

Zmyślaz... Zachoway sobie twoy Sekret... Nic już więcej ślichać nie chcę... Nie chcę y słyszeć o tobie daley... Radabym teraz nienawisć powzięła ku tobie.

Nędzarzski.

(oddala się od niey w ostatnim pomieszanu zatomawszy ręce)

Ah! Nielstety!

Klaryssa.

Ale co słyszę? słyszę kilka osob po wschodach ku nam idących.. Ah meżu! Kołają do nas, a ty się wzdrygasz, y drżysz ze strachu. Co to znaczy?

Nędzarzski (cicho.)

Idź Zono do komory, zamknij się z dziećmi.

Klaryssa.

Lękam się dużo, co to będzie daley?

Nędzarzski cicho.

Lękay się tylko przepomnieć pierwszy raz w życiu powinności cnotliwej żony.

Klaryssa

Klarysza.

Ah! dla Boga mocniej kołaci. Meżu moy Kochanv! y czegoż kto może żadać tak późno od ludzi nie-szczęśliwych, śmierci tylko czekaią-cych!

Nędzarzski (cicho)

Byłem rano u jednego poczciwego dłużnika liczną familią obciążonego, więc nie zezwoliłem, aby go z uciskiem przymuszano do od-dania Summy, śnać ten widząc na-gła moję potrzebę, przybył do od-dania długu według danego słowa... Czy doścże ci na tym?

Klarysza.

(Mocniej kołacą.)

Ah! dla Boga jakiś czuję pre-sentyment że ...

Nędzarzski.

Y także pierwszy raz w życiu kaprysom się podajiesz?.. Y także woli moiej pierwszy raz się sprze-ciwiasz? Zamknij się w Alkierz u z dziećmi, proszę, Obaczemy się w krotce, y dośc czasu będzieś miała do polaiania.

Klarysza

Klarysza

Ah! iakże to nieznośna dla mnie przymowka! Ta nastroiona iego spo-koyność do zadumienia mię y do tę-kania pobudza. *(odchodzi a w tym Nędzarzski owiera)*

SCENA III.

Instygator z czterma Żołnierzami, o krok za nimi pochodnie.

Nędzarzski.

Czego żadacie!

Instygator.

Nie będę w. Mści Pana zaprzę-tał pytaniami obojętnemi y za wilemi, ktoremi się urażać zwykli ludzie w. Mści Panu podobni, u ktorego na czele wyczytać można y uczciwość.

Nędzarzski.

Pomiąmy te pochwały, zewnę-trzna postać nie popłaca u mnie, a cnota u mnie w sercu nie na twarzy..

Instygator.

Owoż oto gra idzie... Gwałt uczyniono w tym momencie pewne-mu

mu Szlachcicowi jednego służącego za sobą mającemu. . . Ten odstąpił w-
fzy Pana szedł za zloczyncą, gdzie
się obroci . . .

NędzarSKI.

Dość na tym. Ja jestem ten zło-
czynca.

*Instygator y Zolnierze razem
wszyscy.*

Co zaś W. Mści Pan . . . Czyż to
podobna?

NędzarSKI.

Ja, nie inaczej.

Instygator.

Dziwnie mię to zaśmucha y czuie.
Trzeba nam tu wkaždy ką zayrzeć.
Zolnierze nu ieno ruszcież się.

NędzarSKI poalterowany duzo.

Stoycie przebog! . . . Ten Alkierz
w samey rzeczy zawiera skarby
wielkie rzadkiego szacunku y do kto-
rych więkze mam niz do życia przy-
wiązanie! Jest to Marka . . . niekon-
czoney cnoty Towarzyszka moja, y
dwoie Dzieci wszystkimi przymio-
tami przyozdobione, które pałnyami
kochać muszę, a bylyby z oltatniej
myzeryi

myzeryi pomarli, gdybym był z nie-
bezpieczeństwem własnym ich nie po-
silił. . . Czyż ludzkość sama nie wzbudzi
w tercach ważnych politowania
nad tą Familją nie winną a tak nie-
szczęśliwa? (*Zolnierze się wzbudzaią
do Kompassoi y ręce załamują, oręże
na stronę oddaliwszy;*) Czy nie chcieli
byście pastwić się nademną y kay-
danami obciążać w oczach żony y
dzieci! a tym widowiskiem o śmierć
ich przypawić? (*Instygator ręce za-
łamuje*) Ah! iakież narzekania! szty-
letemby przeniknęły serce moje!
Iakby to był na mnie ciężki taran
duszę z piersi wydzierający! O mo-
ie dzieci kochane! iakież waś koniec
czeka? O! żono najmiłsza! Na coż
ci wychodzi ściły małżeństwa wę-
zeł Serce twe rozweselaający! Ah! y
taką odemnie cnot twoich nadgroda!

1. *Zolnierz.*

A zaż cię nie przenikają te słowa?

2. *Zolnierz.*

Czyż można nie być wzruszo-
nym do politowania?

3. *Zołnierz.*

Pierwszy raz przychodzi mi w
życiu lzy gorzkie wylewać z liłości.
Influgator.

Domyślam się Panowie. Ja w
waszych a wy w moich oczach równie
wyczytnie dziwne pomieszanie!
Czeka nas zobopolnie funkcyj strata,
jeżeli się kto z nas odezwie z propo-
zycją uwolnienia tego Jegomości.
Ah! jeżeli wy, coś cie już zahartowali
serca, y zwykliście nie zmrzonym
okiem patrzeć na tortury Złoczyn-
cow, czuiecie się kommizeracją dot-
knionemi, znać że niewinność y
natura na gwałt ostatniego dobywa-
ją głou. A czyż na ten głos przy-
padać nie mamy?

Nędzarzski.

Bynajmniej. Jąbym się sam kie-
dyżkolwiek oskarżył, bo do śmier-
ci samey szukam być rzetelnym y
prawdomownym. Podźmy... a ie-
żli tli się jeszcze w sercach waszych
iskierka miłości bliźniego, zwoina
y cichuteńko z tąd wynieśmy się, że-
by moia oplakana familia nie mogła
przez

przez tę noc domyślać się ostatniego
zawziętey na mnie fortuny zamachu
[*cicho sam za sobą drzwi zamyka.*]



AKT III.

SCENA I.

KLARTSSA y MARTSIA.

Klaryssa.

CO! Przebog! wyszedł moy mąż
z niemi... Poydę za nim, dogo-
nię go, nie puszczę się go na krok ie-
den. Ah! ah! [*spieszyc pada na scho-
dy, y slychać ten icy upadek.*] Ah! Bo-
że miłosierny! ah! Marysiu! ah! ah!
kochana corko! [*iękliwym głosem.*]

Marysia.

Ah! niestety! co widzę! wroć się
Panie oycze, ratuy moię matkę.

Klaryssa.

Skwapliwość moia za nim w biegu
prędkim przyprawila mię o ten upa-
dek.

D

Marysia

Marysia.
 [podnosi Klaruszę, y dzwigając
 prowadzi do stolika przy lampie,]
 Ah! matulenku! czy nie masz ia-
 kiej rany?

Klarusza.
 Sama nie wiem! śmierć mi w o-
 czach stoi! wszystkie bole opanowały
 mi serce! gdyby mi żyłki wyparano,
 nie czułabym więcej.

Marysia.
 Ah przebog! iakże me serce żal
 dręczy!

Klarusza.
 Już więcej o sobie nie myślę! ale
 iak sądzisz? gdzie się obrocił twoy
 oyciec?

Marysia.
 Jako dobroć jego ku nam jest nie-
 skończona, sądzą, że poszedł szukać
 drewek, iako nam obiecał.

Klarusza.
 Day Boże!... Ale nie śmiem sobie
 obiecywać.

Marysia.
 Ah! dla Boga! mroz co raz bar-
 dziey nas przenika, y frodze dręczy
 ..lzy

..lzy z oczu płynące zlodowacia-
 ły mi na twarzy! a ręce twe matu-
 lenku, ręce dobrotliwe o iakże po-
 drętwiały! ó iakże (kości ały! [bierze
 ręce matki, chucha w nią y szuka ro-
 zgrzać parą ust y całowaniem.]

Klarusza.
 Ktoś nadzedeł. Otworz drzwi co
 prędzey. Ah! może..

SCENA II.

Też same y STARUSZKIEWICZ.

Staruszkiewicz
 ogląda wszystkie kąty y widząc
 ściany ogolcone bez żadnyh ru-
 chomości mowi.

O ludzkości święta! rodzicielko,
 podporo, delicye ludzi żyjących! kro-
 regożesz czasu, y w ktorey krainie by-
 ła bardziey zaniedbana? nieszczęśli-
 wa familio! iako widzę podupadłaś
 do fzczytu, iako y inné com ie do-
 piero zwiedził.

Klarusza.
 A to co Mści Panie! ani lody śli-
 skie upadkiem grożące, ani cienie za-
 padley

padłev nocy, ani wczasy y trudy sta-
ia się hamulcem porywczev W. M.
Pana w podźwignieniu nędznych li-
tości.

Staruszkiewicz.

Owszem mogłabyś mię W. M. Pani
strofować, że miałem od 5. dni nie na-
wiedził, ależ to wina nie serca, lecz
zdrowia mego. Niestety! w tym to
wieku moim zgrzybiałym czuie czło-
wiek, że każdy moment stałe się ży-
cia uymą. . . . Atoli wszystko się kon-
czyć musi. . . . Y same nawet glazy
starość niszczy, y nie maż nic nieś-
śmiertelnego oprócz jedney cnoty.

Klaryssa.

Nader szczęśliwi tacy, których ta
cnota nie odstępowała na tym padole
płaczu y nędzy. . . Jeżeli przeciw-
ności zapamiętałych ludzi do prawid-
ła cnoty pod czas przywodzą, to
ostatnia ich nędza od niej też cza-
sem odwiedzie.

Staruszkiewicz.

Mam tego oczywiły dowod z tre-
funku, który mię w tym punkcie po-
tkal. . . Niosłem do was y do innych
w nieszczęściu podobnym utyskują-
cych

ych cząstkę moiego uboiego maia-
tku. Bo czyliż można lepiej loko-
wać to, co nam zbywa z nieodbitey
potrzeby, jako taką przyługą serce
nędznych pocieszyć. Alisci człek
iakis nagle mię chwyci. Uważałem,
że miał postać chorobą zemdloną, y
oczy alteracją pomielzane, powto-
rzone ięki y stękania gwałtowne
mowę mu tamowały. . . .

Marysia.

Jaka bezbożność!

Staruszkiewicz.

Powoli moja śliczna Panienko! nie
wąpię, że rownie twoie usta nie są
skłonne do pohańbienia, jak serce do
nienawisci. . . Wiem przeżył! wkroś
zwyklem geniusz y inklinacye ludzi
przenikać, y uważam z ciężkim za-
łem, że wstecz przeistoczyli ustawy
natury. . . Ludzie cnotliwi, co się
ustrzegli tey zarazy, naybardziej
podpadają stosom nieszczęśliwości,
ktoreby być powinny karą bezbo-
żnych. Codziennie widzimy, że
człowiek dobry, poczciwy, drogo o-
płaca swoją rzetelność, y staie się ofi-
rą swoiey sumiennosci. . . Trafi się.

że podupadnie, że zachoruje, że go gwałtowne potka nieszczęście, iako się aż nazbyt często przytrafia, tedy nie wie gdzie się obrócić, aby wybrał takie przystugi, iakie sam wszystkim bliżnim wyświadczał. Wzgarda od swych krewnych, przyjaciół, sąsiadów naywiększą dla niego była męczarnią; chce iey uniknąć, tai się, y ukrywa, a tak bywa zagrzebiony w swych niedostatkach. W tym głod mu się da we znaki, rozum go odstępuje, zmysły mu się pomieszają, uda się do rozpacz, y przyidzie do tego, że reka iego stanie się zloczyncy podobną, choć jeszcze serce cnotliwe. Tak mi się widzi, że ten o którym mówiem, człowiek w podobney znajdzie się sytuacji. Imaginuy sobie W. M. Pani, że potkawiży o dwa kroki odemnie niewiaścę iakąs starą płaczącą z głodu, dał iey częśćkę tych, które mi wydarł chlebow na poratowanie [iako iey powiedział,] głodem zemdlonych dzieci swych, y tę częśćkę nad potrzebę swoję zbywającą (iako iey rzekł,) że bez tego na nią trapienia miał był wolę oddać mi nazad.

nazad... O! iakże ta niewiaścę błogotawiała owego meża. Day Boże, żeby było ze skutkiem, którego on godzien.

Marysia.

Jakże mię żal bierze tych dzieci, które pokarimu dostały przez zbrodnią. Co ia to bym wolala umierać z głodu.

Staruszkiewicz.

Pieknie bardzo! masz tu W. M. Pani córkę ktorey sentymenta są wcale wspaniale. Godna y miłości y uszanowania. Skarb znajdzie komu się dostanie w dożywotnią przyjaźń... Adieu moje Państwo, tak odległa stąd moia stancya, że muszę się gwałtem oderwać od tey rozmowy, w ktorey panuje cnota, abym wam też przędzey przyniósł co do wikt y pożywienia...

SCENA III.

Ciż sami, y KOCHANSKI nadchodzi.

Staruszkiewicz.

Co widzę? moy syn kochany.

D 4

Kochan-

Kochański.

Ah! Oycze, łaskawy! ponieważ cię spotykam w tym domu, już mi wszystko wiadomo, już nic nie tajno. Przyjaciel mój w ubóstwie... Familia jego w niedostatku...

(*Klaryssa y Marysia pomieszane zdumiewają się.*)

Staruszkiewicz.

Pisałeś do mnie synu, żeś dopiero miał stanąć za tydzień.

Kochański.

Prawda oycze dobrośliwy, ale pewna okoliczność wymagała tu bytności mojej na dzień jutrzejszy. Do tego serce mi podało ten fortel, że bym cię tatulu zniemacką przywitał nieoczekiwanie, iakoż byłem w stancyi, alem cię nie zastał. Atoli na dobre wyszło, gdy cię tu zastałem w kompanii mojej ulubioney kochanki, ku ktorey podziałem oświadczam głęboki respekt, miłość y dozgonne przywiązanie. Ah! Oycze serdecznie kochany! przypomniew sobie, że mci tyliac razy wspominał o Paniencie w cnotach niezliczonych wydoskonaloney, y takiej, żeś poczytał, za rzecz do

do wiary niepodobną. O toż to mówiłem o tey Marysi, która tu masz przed oczyma swemi. *Marysiu!* pasyami kochana *Marysiu!* racz się przyłożyć ze rana z prozbą do nog oycza, aby nam podał rękę do dozgonnego szczęścia naszego. Jest to przykład dobrych rodziców, iako ty jesteś wzorem cnotliwych panienek.

Klaryssa.

Panie *Kochański* już ci więcey nie można zataić sekretu. Nieszczęśliwe przypadki, ubóstwo ostatnie, a co ieszcze dotkliwszego, Wstyd fromotny rozstargnely wszelkie wiezy między W. M. Panem y Familia przyiaciela W. M. Pana. Rowność urodzenia przynajmniey wymaga iakazkolwiek proporcya, a nam na wszystkim zbywa, y wszystkie co tylko być mogą, ogarnely nas nieszczęśliwości. Biada! są ieszcze y inne przyczyny, ktore W. M. Pana oddalonym być przymuszają od moicy córki, a skoro się dowiesz W. M. Pan, wzdragnąć mu się przydzie; a bez pomocy

Kochański

Kochański.

Ah! nielitościwa na serce moje Klarysso! coż mi to powiadasz?

Klaryssa.

każe ustąpić corce do alkierza y sama do siebie cicho mowi.

Alboż po oddaleniu iey zbęde ciężaru, który mię tłoczy.

Kochański.

Ah! Oycze dobrotliwy! ty najlepiej znasz wsiystkę dotkliwość duszy moiey, bo ta jest twoiey edukacyi skutkiem, pozwol mi, zebym na łonie twoim wylał ciężkie żale y lzy gorzkie, . . . śmiercią przypłacić przyjdzie, jeżeli mi odmowiona będzie Marysja.

Staruszkiewicz.

Synu kochany, iakże mię ta twa miłość (co ci jest męczarnią,) dręczy! nie dla tego to mowię, zebym furowy obyczajow cenzor iako więc w wieku podeszłym bywa, przymuszal cię do odstąpienia wcale twoiey inklinacyi. Jednego jesteśmy zdania obydwaj, że świat nie ma sowniejszego błogotawieństwa Boskiego nad białogłową cnotliwą y pięknych obyczajow,

ów, iaka jest Marysja, która twe zniewoliła serce, atoli uważać trzeba, że świat ma swoje prawa, swoje maxymy y zwyczaje, iż ubóstwo y niedostatek ma swoje inkonweniencye. Powinieneś synu menażować familią, utrzymywać przystoyność twego urzędu, a wiesz dobrze, że się już wyzuł z bogactw.

Kochański.

Ah! Oycze kochany! nie uważaj tych lekomyślnych awantażow, co mydlą oczy ludziom pospolitym y gminnym duszom, a wyciukają kompassy u ludzi poczciwych. Wszakże mię oycze sam nauczył, abym nie miał w pogardzie. Co do urzędu mego, ten nie wymaga zbytkow y pomp. Wszakże ciebie samego czcę godny oycze, niemniey czczą y szanują ludzie, choć potrzebom niedźnych y podufałych oddał w ofierze fortunę twoją zamiast, co inni łożą na cugi, na łowy, na ekwipaże, na przepyszne pałace y kosztowne ruchomości, chcę cię y w tey cnotie naśladować oycze cnotliwy, osmielę się tak pomiarkowaną komentować się

się kuchnia, jako jest twoja bez zbytków, bez słowników podchiebrych, ale uczciwość, skłonność do dobroczynności y zgoda zawsze u mego mieścić się będą stołu, y jak na straży otoczą Marysię. Opływać będę w radości y serca delicye. Nieustannie myślę sobie będę, nieustannie mówić będę Marysiencie, mówić będę y przyjaciółom: Miłości ku mnie kochanego a wzajemnie kochającego oycę winienem życie moje, winienem chwalebne obyczaje moje, winienem pomyślność zupełną y ukontentowanie życia. Ah! Oycze! izaliż się zawiodę na tey nadziei?

Staruszkiewicz.

Takimi jakie opowiadasz sentymentami każdy syn (mówić się może,) czci siwe włosy oycę swego. Temi exprestyami sprawujesz, że zgrzybiały ocięć puszczą w nieparamięć y dolegliwości starego wieku, y okropność zbliżającej się śmierci. Ah! moje kochane dziecko! wielki sam łepiej, że nigdy nie użył zwierzchności nad tobą oycowskiej, tylko abyś od serca swego odrzucił dwoi-

kie

kie monstrum: nieczność y zamuczenie. Wszystkie moje myśli iednostajnie zmierzały do szczegulnego końca twego zupełnego ukontentowania. Oświadczaś mi drogę, która cię doprowadzić może do szczęścia w życiu pomyślnym, pozwałam tedy, abyś do niej y zmierzał ale po doyrzałym roztrząśnieniu y po wydzwignieniu z tey zley toni, tey to uczciwey familii, którą nie trzeba mi tu zalecać twoiey szczodroblivosti: Adieu moje Państwo, (*zaświeca latarkę w lampie.*)

Kochański.

Ah! Oycze! Oycze nayukochańszy! y iakichże słów zażyć mi przyjdzie na wyrażenie niekoińczoney moiey wdzięczności. (*Gręce mu całuje y nogę ścisła.*)

Staruszkiewicz.

Puść mię synu.... spieszno mi wziąć na examen słuźalca mego, co mię odstąpił, gdy mię atakowano na ulicy....

SCENA IV.

SCENA IV.

KLARYSSA, KOCHANSKI

Klaryssa. (cicho)

Służalec go odstąpił!... a mój mąż nie wraca się... O! Boże! y ktoż mi doniesie, co się z nim dzieje... *(głośno)* Mój Panie Kochański, ach! w jakiejże załtaiesz nas porze?

Kochański.

Ah dla Boga! co takiego się dzieje! W. M. Pani z niedzy wracasz się do dostarkow, a tym bardziej apprehensywe mnożyysz?... Coż to znaż te słowa oycy mego, że go miano atakować na ulicy..... Czy jest ci wiadomy jego przypadek?... Y czemuż doczekać się nie mogę przyiaciela mego? y coż mu się stało?... gdzież się bawi oddalony od W. M. Pani małżonek nad wszystko ją kochający. Ah! co widzę! lzy leicż kochana Pani....

Klaryssa

Posłuchayże W. M. Pan. Ale nie... Serce zwierza ci się sekretu... ale usta wdrygają się od wyjawienia...
ah ia-

ah iakąż czuie przeciwność w sobie. Corko y iakże się wie dzie z braciżzkim twoim?

Marysia.

Ah! niestety! odrzuca pokarm niby truciznę... Nudzi sobą... lzy toczy. *[odchodzi.]*

Klaryssa

Jakżem nieżczęśliwa matka! strach mię ogarnia!... Staie mi ow noż na puł wnetrznosci wrażony... Ah! iakis prezentymnt czuie, że strace synaczka! *(staie bez ruszenia się z rękami do nieba podniesionemi.)*

Kochański.

Ah! mocny Boże! Y także dzień dzisieysz y jest dniem twego gniewu? Nic nie widzę tyko obiektu okropnego y trwogi wzbudzającego! Tyko co tu stawam y do nog kochanki upadam, widzę ją duzo poalterowaną, y iakis tajemnicę przedemną zachowującą... Wyszędysz y rząd napotykan z iedney strony obywatelow życie przed pożarem ognia: nagłym ledwie salwujących, z drugiey strony dwoie dzieci nagie na ulicy, ktore tegi mroz o śmierć przyprawił... Spie-

Iżę tu serce mając ściśnione y rozum
niepomyślnemi zaprzętiony presen-
tymentami, y spotykam iakiegoś zło-
czyńcę do więzienia prowadzonego.

Klaryssa (przychodzi do siebie.)

Złoczyńcę mówisz W. M. Pan? y
coż to był za człowiek?

Kochański.

Ah! kochana Pani! y jestże temu
czas użalać się nad niedolą cudzą,
kiedy W. M. Pani czuiesz dolegliwo-
ści własne domowe.

Klaryssa.

Mam w tym racya... koniecznie
chcę wiedzieć, co to był za człowiek.

Kochański.

Y za coż się W. M. Pani tak bar-
dzo za nim interesujesz? raczey idź-
my poratować iey synaczką.

Klaryssa.

Czy wiesz W. M. Pan przynaj-
mniej to co był obwiniony?

Kochański.

Tylkom te słowa słyszał od jedne-
go z żołnierzy. . . . Pożal się Boże!
o to szło tylko, że chciał od śmier-
ci wybawić swą dziatwę. Pospolstwo
co się

co się zbiegło a zwłaszcza niewiasty
wielkim krzykiem trwogę buntu czy-
niącym poczęły wołać, dajcie mi
pokoy, puście go wolno, dla porato-
wania dzieci to uczynił. . . Szemrano
coś, że iakiś starzec. . .

Klaryssa.

Ah! co słyszę! Już wątpić nie mo-
ge, że to był mąż moy.

Kochański.

Ah! co słysz! ó Boże! moy przy-
jaciel kochany? ah! iakież moie nie-
szczęście!

Klaryssa.

A ow starzec to był twoy oyciec.
Ah corko! mizerna corko! . . . Twoy
oyciec wiecznie przepadł.

Marysia.

Ah! ah matulenkę!

Klaryssa.

Zgubił się marnie, aby nas pokar-
mem ratował.

Marysia.

Ah oycze! . . . Ah oycze! . . . Ah
tatulenku kochany!

Kochański.

Jakże fatalna moja podróż! iakże
niepomyślny powrot! y czemuż
E dniem

dniem przynajmniej jednym nie poprzedzilem te przypadki niebezpieczne.

Ah mężu! *Klaryssa.*
 Ah oycze! *Marysia.*
 Ah przyjacielu! *Kochaniski.*

wszyscy.
 razem

Kochaniski.
 Ah Marysiu! ah Klarysso! gdyby był taki konsolacyi w tym przypadku sposob, ...

Klaryssa.
 Nie szukam, ani przyjmuję żadney konsolacyi. Tracę nieskończenie kochanego męża. Podobno przydzie utracić y wewnętrzności moje dzieci nieporównanie kochane. Tracę męża, ale jakim hanbiącym sposobem. Ah! tak jestem zawstydzoną y pomieszana, żebym się raczey chciała ukryć y utaić w podziemnych lochach [odchodzi]

SCENA V.

SCENA V.

MARYSIA y KOCHANISKI.

Marysia.

Y także nie przywrocisz mi mizernego oycy Boże Wszemogący! .. Y także mi oycy nie przywrocicie śędziowie namiestnicy sprawiedliwości, opiekunowie ubogich.

Kochaniski.

Mam przed oczyma wizerunek cnoty przesładowania znoszący! śliczna a smutna Marysiu, nieśzay twoje łkania z memi jękami, nie lękay się powierzyć y poruczyć tym rękem. Niestety! tym rękem, co miały się otwierać do uściskania cię z czystey miłości, a nie do dźwignienia w uściskach z litości.

Marysia.

Ah! ledwie żyję! tchu mi nie staję. .. dusza mię odbiega. ... śmierć mi zaziera w oczy. (omdłewa.)

Kochaniski.

Nigdy me tercę nie było ku niey tak nachylone! Jakże nadebna chociaż zemdlona! Marysiu! .. Marysiu..

kochana Marysiu! y nie otworzysz-
że oczu? kochanko moja, arcykocha-
na Marysienko!

Marysia.

Jakieś środki akcenta odzywają
mi się w sercu! (spoyrzy na Kochań-
skiego z zadumieniem.) Ah jakże bo-
lesne odecknienie! Marzyło mi się,
żem spoczywała na łonie oycy, a ia
na łonie kochanka, na ktorego już
patrzeć nie godzi mi się.

Kochański.

Co mówisz Marysiu? to serce, kto-
re całe sobą napelniaasz, czy może
knuć krzywoprzyśięstwa? Jzaliż Ko-
chański puści w niepamięć przysięgi?
przeto że na Marysię wszystkie nie-
szczęścia spadły... Niechby mię
w przod.

Marysia. (przerywając)

Slyzalesz W. M. Pan co rzekła ma-
tka! Ja nic przeciwnego iey woli nie
siucham. Jdź W. M. Pan do domu,
y oycy swego uszczęśliwiay swą by-
tnością... Mnie należy ięczyć nad
przypadkiem mego bez świadka...
Jdź kochany Panie Kochański.. Jezeli
jeszcze masz iskierkę iaką miłości ku
mnie,

mnie, to nawiedz jutro ubogą matkę
przed świtanem.

Kochański.

Jutro... Dzień jutrzejszy będzie
dniem w życiu całym moim nayo-
kropniejszym... Jutro przed świta-
niem nie pomyślę o tobie moja Pan-
no bez wstretu! ah! niestety! jutro
stanę się pono w oczach twoich nay-
niewdzięczniejszy y naynienawist-
niejszy!

Marysia.

Ah okrutniku! y tyżes ważył się
bydź delatorem tey sprawy?

Kochański.

Bynaymniej Marysiu. Nazbyt sza-
nuję życie ludzkie, y dalby Bog, aby
Oyczyna moja naśladowała pewny
Narod ludzki, u ktorego nigdy krew
ludzka nie bywa wylana na placu
śmierci.

Marysia.

Prawdą można talkawość wyczy-
tać na twoim czele, y serce twoie
jest iey świątnicą, y zawsze będzie..
ale coż ma za związek dzień jutrzej-
szy z moją ile ku tobie nienawością?

Kochański.

Y jestże to mocy ludzkiej, takie dać odpor pokusie? ah Marysiu! uczuasz, że moje nieszczęście równa się wcale twojemu. Jutro jedno z dwóch! albo odstąpię sprawiedliwości mego urzędu, mojej czci, sławy y mojej przysięgi, albo oycę twego na śmierć osądzić muszę, gdyż jestem jego sędzią.

Marysia.

Ty zaś sędzią mego oycę?

Kochański.

Mogłbym się unknąć od tego sądu. Y Podśedek mogłby zadoczyć uczynić tey funkcyi surowey ale potrzebney, ależ kto ma prawo dispensować mię, abym nie był sprawiedliwym przysięgę zachowującym? kto ma prawo uwolnić urzędnika na publiczney funkcyi będącego od wykonania swego urzędu? wojownik fortecy dobywający czy może się cofnąć dla uniknienia pewney życia utraty! powinności sędziowskie izaliż podpadają odmianie różnych przypadków? Y także temu ma służyć tytuł wspaniały oycę ludu, opiekuna

na obywatelów, który się im nie fakryfikuje, tylko w rzeczach łatwych, miłych, y swym interesom przwgodnych? y iakąż będzie różnica między takim sędzią, a między winowaycą, który nie zażnużył na karę, tylko przeto, że szedł za powodem namietności, że nie dał odporu chuciom, że nie szedł prosta, ale krzywą drogą za cnoty prawidłem. Tak jest nie inaczej! prawy sędzia sprawiedliwości opiekun, ma być podobnym do słonecznego światła południowego, ma mieć oko na całe plemię ludzkie, wszystkim żyjącym ma dodawać czy promieni czy cienia, ożywiać, czy palić, orzeźwiać, czy niszczyć y gubić. Co mówię gubić? kogo, kogo zaś gubić? ah! com pomysłił nieszczęśliwy człowiek! czy mamże wzgląd, y rozważam ofiarę, która się gotuje dać pod miecz sądowy!

Marysia.

Zadziwienia moje równają się żalom moim... Y także Kochański dekretować będzie najepięzgo na świecie przyjaciela swego?

Kochański.

O przyjaźni święte imię! węzłe po wieceny dusz wspaniałych, węzłe tak memu sercu upodobany! ah! iakż gwałt uczynię naturze, jeżeli mię ściła powinność przemoże!

Marysia.

Y iakże spoyrzył w sądowey Jzbie bez wstretu suchym okiem y czołem surowym na tego niezczęśliwego czleka? któregoś nigdy nie spotykał bez radości okazywania, bez uściskania y ucałowania? y coż ci on powie na usprawiedliwienie swoje? powie głosem mężnym y słodkim, który ci tyle razy był żywą do cnota pobudką, powie ci te słowa: byłem pożyteczny bliżnim moim, byłem wiernym Krolowi y Oyczyźnie moiey, zawżze miałem wstret y ochydzienie zbrodni wszelkiey, stałem się ubogim ale nie podłym, choroba odjęła mi sposoby życia, y osłabiła siły moie, familii moiey schodziło na wszystkim do utrzymania życia, daremnie wzywałem politowania krewnych, pomocy przyjaciół y sąsiadów, natura podała mi rozpacz za prze-

przewodnika, y tak stałem się winowaycą, przeto tylko, zem nie mogli przestać bydż oycem. . . Na te słowa iakż będzie twoja odpowiedź? . . . *Musisz dać gardło pod miecz? Ah! kochany serdecznie Kochański, te łzy krwawe, które wylewam w twej przytomności, płynąc będą obficiey, a płynące zatrą y zagluzują dekret twoy feralny, a tak mi wrocą kochanego oycy, tobie przyjaciela, światu zaś całemu cnodliwego obywatela.*

Kochański.

O płci niewieścia iakżeś powabna! iakże twoja wymowa y dzielna, y miła! . . . Ale ah! iakże y razem niebezpieczna!

Marysia pada do nog jego.

Nie wspomnę ci tu, że był ten czas, kiedy ci zachował życie, nie wyrzucę ci na oczy serdeczne wzdychania twoie, ani zwycięstwo nad sercem moim słodką niewolą zholdowanym. . . Szczegulna dobroć natury y serca wspaniałość, powinna wymodz od łaskawego przy sprawiedliwości sędzięgo to, na co człowiek gminny

gminny y poşpolarity dałby się nakłonić przez podłość namietności.

Kochański.

Wstań już proſze. Tyranko ſerca meiego... Gine dla ciebie.

Marysia.

Ah! maſz że ty tyle ſerca, abyś mógł ſtrofować ięki y żale corki ze ſtrachu omdlewaiącey, tey corki, ktorą oyciec nader ukochał! ten głos, który się z pierſi moich dobywa, ieſt to głos ſamey natury, 3 życia nie go dzien každy, co tego głosu ani wydaie, ani ſłyſzeć nie chce.

Kochański.

Owoż twoy oyciec kochany znajdzie u mnie wzgląd... Ah! cożem chciał wyrzec? Maryſiu! maſz wszelkie racye żalow twoich? oſoby nieſzcześliwe mogą się upokarzać przed ſędziami ſwemi, ale takie proźby y wyſtuchania onych podłym czynią kaźdego ſędziego. *(rzuca worek z pieniędzmi y nigle ośchodzi.)*

Marysia.

Miłyż Boże! y także ucieka odemnie niewdzięcznik! y czegoż ſi mam ſpodziewać po tey ucieczce! y
coż

coż on zamysła? co chce uczynić? . wſzystko dobrze uczyni. Ośmieli się on, y odwroci od bitego goſciica, 3 w tey okoliczności nachyli praw ſwiętey ſprawiedliwości dla praw ieſzcze znakomicznych bo ſamey natury y ludzkości wrodzoney... Kochański zbawicielem będzie mego oyca! ah! iakaż to dla niego chluba w oczach Maryſi! Już miłość oſoby iejo wſzystkie przewyższyła ſentymenta moie. ah! czemuż nie mam ieſzcze drugiego ſerca, żebym mu y to w zupełną oddała oſiarę.

SCENA VI.

KLARYSSA y MARYSIA.

Klaryssa.

Przybyway Maryliu. Przybyway co pędzey.

Marysia.

Ah moia matuleiko! gdybyś wiedziała... Kochański...

Klaryssa.

Kochański ieſzcze nie ieſt naſzym! Więc nie maſz co o nim myſlić, kiedy

dy twoy braciśzek w ostatnim życia
schyłku.

Marysia.

O Boże! moy braciśzek! y takżeby
przytżło postradać braciśzka?

Klaryssa.

Ale coż mu powiemy. Napiera się
koniecznienie pożegnać z oycem. Usta-
wicznienie y nieutulenie woła. Proście
do mnie tatula, niech go uściskam
y ucałuję, niż umrę. O! synaczku ko-
chany, nie samemu ci umierać przy-
dzie. (odchodzą.)

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

AKT IV.

SCENA I.

KLARYSSA y MARYSIA.

Klaryssa zapłakana.

Ah Marysiu! Marysiu! y na coż
mi się naprzykrzaś? y gdzież
mię prowadziś? Y iestżc iaki na
świe-

świecie kącik, żeby mie w nim odsta-
pić miały żale y troski.

Marysia.

O nader nieszczęśliwa matko! zmi-
luy się sama nad sobą, a podż za mną.

Klaryssa.

Niech idźcże uyrzę syna mego, ko-
chanego synaczka mego, iedynaczka
mego.

Marysia.

Y coż ci za upodobanie paść oczy
martwym iego ciałem?

Klaryssa.

Serce iego sercem moim okryję.
Przywroce mu dech skaniem moim y
iaka gorącey miłości iskierka! Jeszcze
oczera iego obeyrzą się miluchnie ku
mnie... Obaczy mię y pozna, y uwe-
feli strapioną matkę... Ta matka za-
nurzy ostatni raz chciwe (poyrzenia
w duszy iego wychodzącey.

Marysia.

Usta twoje tak często skleione z
ustami dziecięcia, izaliż ią nie przy-
ięły w wyściu! Y iestżc rzecz pod-
obna ożywić ciało wgodzinę po śmier-
ci? gdyby to była rzecz podobna,
ktoreżby dziecię umarło na łonie ma-
cierzyn-

cierzyńskim? któryżby przyjaciel umarł w uściskaniu przyjaciela. Moja kochana matuleńku zaniechaj tych korowodów w uściskaniach twoich równo z ięczeniem twoim. Wszakżeż uznała członki ciała jego okrzepie y serce bez- puls.

Klaryssa.

Trafia się często ludziom, że odstępują chorobą ostatnią złożonych, choć jeszcze nie wcale umarłych, y że ci umierają przez niedodanie posilkow... Tak jest synaczek mój kochany jeszcze dycha... Co mówię! oto tyżę, że żada uyrzyć oycę... Oycę? a! on gdzie teraz? y za coż zniknął z oczu naszych! ah biada! domyślam się, Marysiu rospacz y głód wprawiają mię w jakąś waryacyę! Jużże nie mam synaczka, czuję tę stratę przez wtęret ku temu okropnemu miejscu, od którego odwracając przychodzi mi ze smutkiem oczy... Czuję tę stratę przez lzy, które toczył.

Marysia.

Gdybyż przynajmniej twoje bieg wolny miały. Ale widzę, że nie; wży-

wszystkie żale twe matuleńku widzę zkoncentrowane w duszy... Ah! iakże mię nie cieszy to przydużenie y ta pozorną spokojność! iakże się lekam o twoie zdrowie! ah! w iakążbym poszła poniewierkę niezczęlna sierota!

Klaryssa.

Prawda wżysstek smutek opanował serce moje, w nim się coraz twoga wzmaga y natęża, czuję ból nieznośny. Ah corko moja! sily mi ustaia. [omdlewa.]

Marysia.

Matuleńka rzuca się w ręce moje, a ja sama ledwie się trzymam na nogach, ah naturo! naturo! natęż mi sily odwadze moiej wyrownywaiające. Boże Opiekunie sierot przybądź, przybądź mi na pomoc. Ah lampa zgasła! Jakaż ciemność... Jakaż okropność... Y kiedyż noc nastąpi. Kiedyż się utrapienia nasze! (Tu wielkie się stanie milczenie przzerwane iękami y sękaniami okropnemi. W tym ktoś kołace do drzwi.)

SCENA II.

SCENA II.

Też same y Staruszkiewicz z latarką.

Staruszkiewicz sam do siebie.

Prożno kołace... y nikt nie przychodzi. Lampa snąc zgasła... grube ciemności. Milczenie okropne. Coś upatruję przy goley ścienie. Ręce przeplatane gołe snąc z zimna drżące, ale obaczmy lepiej!

Klaryssa rby ze snu ocucaigca się.

Corko moja, widziśli cień oycy twego?

Staruszkiewicz.

Klarysso! Marysiu, obaczcie się, cofnijcie odchodzące zmysły. Żyć Niedzarski, dopiero go widział, dopiero z nim o was rozmawiał.

Klaryssa.

Jeszcze ledwie świta kochany nasz Dobrodzjeiu, a już się W.M. Pan udał do tego tu domu, domu płaczu y ięczenia? o dobroczynny y godny nieśmiertelney wdzięczności sierot opiekunie! coż się dzieie z moim mężem? co czyni w okropnym tarasie najpoczciwszy

poczciwszy a oraz nayniezczęśliwszy obywatel?

Staruszkiewicz.

Oto W. M. Pani sam donosi (oddaie List.)

Marysia.

List od mego Oycy! Ah! niech go stokroć ucaluję!

Klaryssa.

Patrz Corko! że ieszcze wilgotny od łez przez niego wylanych.

Marysia.

O! Nayukochań! za Matuleńku! gdybym śmiała.. aby był głośno czytany... Zdałoby mi się słyszeć głos jego, ten to głos tak mi miły, tak wdzięczny.

Klaryssa

czyta, a Staruszkiewicz się odwraca.

„Pan Bog patrzy na serce moje y jego skrytości, a to serce do tąd bez zmy... żadna go boiaźni nie tworzy, żaden go sumnienia robak nie gryzie.” *(Jama sobie przerywa.)*
Ten ci to jest Trybunał wewnętrzny w nas samych, o którym nie wiedzą Sądy powszechne *(czyta:)* „Idę pod Sąd nieśmiertelnego Sędziego, alez wiel-

„ka ufnością, że mię lepiej osądzi
 „Bog Sędzia Naywyższy. . . Idę z wy-
 „znaniem samey prawdy, idę z pod-
 „daniem się dobrowolnym Prawom
 „Oyczytym, idę na śmierć.

Marysia.

Ah! iakie Tyranstwo! Iudzić mię
 prozną nadzieją (to wurzekłszy twarz
 zastania fartuchem, a Klarysa czytanie
 kontynuie przerwaiąc iękami.

Klarysa.

„Idę na śmierć (czyta) nie odbity
 „jest los mego nieszczęścia. Oddaę
 „ci ostatnią waletę, przyimij ostatnie
 „ufciśkanie, y moim imieniem pożeg-
 „nay Syna y Corkę nazę „(na to słowo
 (Corkę) *Marysia* pocznie ryczeć z żalu
 zawsze zastłonię. *Klarysa* chce list do-
 ley czytać, ale każde iey słowo jest przer-
 wane wzdychaniem y łezem) „Niech
 „two ręką otrzę łzy z oczu naszych
 „ubogich dzieci. Powtarzay im co-
 „dziennie, że ich Oyciec życia postra-
 „dał dla zachowania zdrowia swoim
 „dziatkom yz Matką. . . że życie iego
 „było bez nagany y winy dobrowol-
 „ney. . . Ze zamianą za hańbę swę y
 „śmierci, zotawuie im pobudkę do
 cnoty.

„cnoty. Niech się nie trapią tą hań-
 „bą, mniemaniem tylko podłego gminu
 „za taką poczytaną. . . uczciwość oby-
 „czaiow y sentymenta ludzkości sta-
 „ną się im tytułem Szlachectwa, a
 „takie szczegulnie zaszczyca y nie
 „może być nigdy zhańbione. . . A-
 „dieu, adieu ostatni raz na zawsze.
 (Matka y Corka w ostatniey konsterna-
 tyi stanę iak wryte.)

Staruszkiewicz.

O! mocny Boże! porachowałeś dni
 wieku mego, niech mi będzie umniey-
 lżona ich liczba, wesolym okiem przyi-
 me nowinę o dniu wieku mego osta-
 tnim; byłem utrzymał przy życiu po-
 tężciwego Obywatela, a rozweselił nie-
 skonczenie zasmuconą iego familią.

Klarysa.

Ah! jeszcze W. M. Panu niewiado-
 me wszystkie moię smutku przy-
 czyny. Podź W. M. Pan za mną, a przy-
 łoż plaster na ranę ferca nieszczęśli-
 wey Rodzicielki.

Staruszkiewicz.

Ah! co widzę! y także śmierć o-
 kropna Syna, łączy się z hańbą śmier-
 ci Oycza?

F 2

Kla-

Klaryssa.

Z hańbą zaś? Śmierć Syna już zgłuszowała hańbę Ojca. Synaczek mój umierając najlepiej usprawiedliwia obwinionego Ojca. Ah! niechże przynajmniej otrzyma Urodzeniu swemu przyzwoity pogrzeb! Ale co mówię! Nic się nie dzieje bez pieniędzy! tylko sama cnota nie przynosi zysku.

Staruszkiewicz.

Serce mi dyktuje pewny sposób, który się nam udać może. Podż W. M. Pani ze mną, Kareta, którą tu zatrzymałem, u bramy nas czeka. Proszę z sobą.

Klaryssa.

A czyż mogę oczom ludzkim pokazać się tak, jak wyglądam.

Staruszkiewicz.

W. M. Pani postać właśnie jest przyzwoita prozbom ulitowania wyciągającym. Pospolicie ludzie w honorach y dostatkach opływający bywają nie litościwi y pogardzający, przytomność człowieka niefortunliwego wstret im y awersyą czyni, atoli znajdują się y tacy (ale przyznam się że ich bardzo

dzo mało) Ktorzy nie styżają utrapionych ięki, żeby fami z użalenia ieczeć nie mieli; ktorych każde cudze nieszczęście przeraża wskroś y dolega, w ktorych sercu każdy utrapiony znajduje pomoc y pociechę. Takim cię osobom zalecić myślę, a zatym Pani racz żale polkromić.

Marysia.

Matuleńku! porzucasz mię samą, y ktoż mię poratuje? od oczu twoich oddaloną?

Klaryssa.

Nadzieia... Nadzieia przywitania się z Oycem.

Staruszkiewicz.

Niebawmy prożę, każdy moment przyspieszający wydzignienie Człowieka ze zley toni, jest kosztowniejszy nierownie nad wszystkie skarby y kruzce złota. Stanie się co W. M. Pani żadałsz.

Klaryssa.

Pod ten właśnie czas jak męża mego prowadzić będą na plac, racz Panie kochany sporządzić exportacyą ciała Syna, Niech żalobna procella okropnemi pochodniami otoczona, zastanowi

stanowi prowadzenie na plac feralny w kaydanach Oyca. Niech się ten Oy- ciec od natury zbuntowaney ocu- cony wzdrygnie, niech do samego Nieba się narzekania, tym głosem niech będą przerażeni Kaci y Oprawcy, a w konsternacyą wprawieni spektato- rowie, Zgoła niech cały świat będzie w zadumieniu! ... Ale ah! co mówię niezczęśliwa! Y coż ci się z tego za- wiąże? Mąż twoy jednak umrzeć musi! Ah! szukaymy raczey sposobow iego ocalenia. Corko kochana! z żalem się z tobą na krotki czas rozstaję, uściskay mię y ucałuy, iedno pocałowanie ust twoich niewinnych (bardziey me siły pokrzepia, niż pokarm y odpoczynek, bo iuż nie żyję tylko tobą y dla ciebie.



AKT



AKT V.

SCENA I.

MARTSIA *sama.*

Okropna samotności! Staniemże mi się grobem? moje ukontentowanie z Rodzicow y braciszka przeszłe, moje utrapienia teraznieysze, y gorzkie przypadkow przyszłych przeczowania, mieszają się gwałtownie w smutney imaginacyi. Ostatni kres życia mo- iego braciszka, nabawił mię okropno- ścią, która mię odtąpić niechce (zbli- ża się powoli do tożka brata swego) Miłyż Boże! iakże wygląda! usta iego otwarte, które tylekroć z słodką ca- łowałam pociechą. Ah! strach mię o- garnia y serce przenika. O śmierci! śmierci! y także to czynisz obrzydli- wym, co w życiu było najmilszym? ... Coż się przebog dzieie? y także Brat Sioltrze staie się okropnym wi-

dokiem? ależ niestety! już go nie
masz ... już dusza jego z ciała wy-
szła, za którą dusza moja z pierśi się
wydziera przez wielkość żalu y af-
fektu... ô Miłości! ktorey winnam
dni życia mego naywesełsze, a może
y samo życie, iuż nie stawiaj wię-
zey przeciw memu przedsięwzięciu
swoich powabow. Wyobrażenie ko-
chania rownie z pozapowaniem godne,
wyobrażenie Kochanka mego (*patrzy
wzdychając na portretek w pierścionku*)
niezczęśliwego... nie przynosź po-
mieszania sercu temu strapionemu, co
iuz nie czuie, ani czuć pragnie, tyl-
ko to co winno naturze. O! arcyko-
chani Rodzice! wam siebie polecam,
ô Boże dobrotliwy ktorego iedynie
kocham, nie poczytay mi za grzech
że przymknąć pragnę kilka momenta-
mi przedzey termin mi życia, iuz y tak
tylu dolegliwościami przybliżony.
(*omdlewa.*)

SCENA II.

MARTYSIA y KOCHANSKI w żałobie

Kochanski.

Stoy przebog! obacz się! miłość
niech doda sił słabości.

Marysia.

Co widzę? ô Boże! w żałobie!
coż to te zwłoki okropne znaczą? Oy-
cieć moy ...

Kochanski.

Ah niestety ielt ...

Marysia.

Na śmierć dekreto wany? y uledz
śmierci musi, y tyż to mi tę nowinę
ogłaszasz? ty mi się śmieść stawiać
przed oczyma? Amancie niewdzię-
czny! Przyjacielu okrutny? krzywo-
przyśięzco wiarołomny! ..

Kochanski.

Ah! ia niezczęśliwy! niewiem gdzie
się obracam. Uczynilem sobie gwałt
prawie nadprzyrodzony ... rozum
mi się miesza ... Tyfiączne niepokoy-
ności serce mi burzą... Czuję miło-
ści zapaly w sercu, ale nadziei ochlo-
dy

dy nie widzę, owszem się lękam nie-
nawisłości... Życie nie mogę bez Ma-
rysi, a Marysia patrzeć na mnie nie
może bez zaintrygowania serca. Wyko-
nałem uczynek, który sprawa wie wstret
mi samemu. Gdyby się już nie było
stało, znówiby na nowo powtórzyć
przyшло dekret podobny, a z tym
wszystkim tak mi żal, że go fe. o-
wał, iakbym popełnił nacyję złą zbro-
dnie. Miedzy ludźmi przynosi mi ten
postępek chwałę sprawiedliwości, ale
głos wewnętrzny troskanego serca,
srogością go nazywa... O iakże da-
lekie są miary mniemania ludzkiego
od własnych każdego sentymentów!
Ah Przyjacielu! ... Przyjacielu ko-
chany! którego równo z duszą ko-
cham, z życiem miluję, tego ostra-
tę życia przyprowadzam (*miejsza się mo-
cno y prawie od rozumu odchodzi.*)

Marysia.

Y od kogoż okrutniku! pragniesz
odzyskać tego przyjaciela?

Kochaniński.

Od nieba, od całego ziemi okregu,
od ciebie, co jedynym słowem mógłś
odwrócić ostatnią nędzę, która nas te-

raz

raz zgubiła. Ani mi się tu wymawiaj
moją nieprzytomnością, bo długo przed
wyjazdem moim domyślałem się o
ostatnim fortuny waszey upadku,
wszak że o tym natrącał, napomykał,
wszak że się nieraz z kompasją y o-
chotą ratowania was oświadczał, ofiary
przyślug moich czynił, ale twoy wstyd
w tym razie nie potrzebny, twoja nie-
rozsądna skromność, y niewczesna de-
likatność, ktorey urazić obawiałem
się, zawsze intencyom moim stawiała
na przeszkodzie, że nie mogł one
skutkiem wypełnić.

Marysia..

Przyznam się, teraz dopiero nad prze-
paścią otwieram oczy... Nie powin-
nam się była poczytać za niewinną...
Y teraz że była kary godną... ale
jeszcze nie wszystkie moje przywary
są tobie wiadome... Wymaga ode-
mnie ta twoja poufałość, abym ci ka-
pryfy tu moje wyjawiała.

Kochaniński.

Y coż mi nowego powiesz?

Marysia.

Powiem ci o nieskończonych zbro-
dniach moich... Miłość opanowała

to

zo ferce, gdy się nam opak fortuna stawała... W stroiu zwyczajnym bez zaciągnięney od powabow pomocy, bałam się mniey miłą stać memu Kochankowi... Ale się dużo myliłam. Miłość iego ku mnie była czytą y nie interesowaną... W tym trwającą mniemaniu nie zastańwiałam się myślą tylko nad przyszłym moim szczęściem, iego attencye, iego cnoty, stawały mi za największą fortunę, za nayokazalsze honory, y gdy Rodzice moi co raz dążyli do ostatney nędzy, mnie samey (słuchay à wzdrygniesz się patrząc na takie tak dziwney natury monstrum) mnie samey mowić zdawało się pod ten czas, gdy się ostatnia Fami iy moiey y zguba y hańba przybliżała, że miłość... miłość staczecznie w tym sercu panująca, zastąpi wszystkie straty, y szkody nadgrodzi.

Kochański.

Y takąż to jest niewieścia zemsta? razem y karać y powaby czynić. Ah Marysiu! Marysiu!

Marysia.

Jeszcze to nie wszystko... Nie wdzięczniku! głodem znużona, żalem

Y

y gorzkością napelniona, życiem sobie skrocila, y co tu słyszysz, co ci na pol rozrywa ferce y lzy wyciska z otczu, to wszystko twym dziełem jest okrutniku! to wszystko robotą twego kochania, które mię przytrzymaie poniewolnie ieszcze przy życiu.

Kochański.

padaj iey do nog, z żalu ryczy, y te tylko na sobie słowa wymusza:

Ah Marysiu! Marysiu! iedyne moje kochanie Marysiu! nie dręcz mi serca dłużey.

Marysia.

Już to nie ta co była Marysia, nie znała ona przedtym tak ściśle podufalności, wystrzegała się sam na sam rozmow, posiedzenia; boiaźń panieńska była iey strożem à wstyd y skromność załoga. Tu zaś widzisz Pannę od rozumu prawie odchodzącą, która w ostatnim nawet życia schyłku, zapędem miłości ku tobie się unosi, y z tym ogniem dogorywa, który przez cały wiek życia swego chciała mieć w sercu dla ciebie nie wygaśny... Widzisz tu Amantkę hołdującą sercu twemu, która wzywa twego politowania... Ah! pokaz

pokaż mi się tak wspaniałym, iako ja
jestem dla Ciebie przychylną. . . odbierz
odemnie to moje kochanie . . . wyzwol
serce moje z więzow miłości. . . wyrzu-
cay mi na oczy wtyd tey ostatney
podłości, abym padła w oczach two-
ich, iako ofiara padać przed temi
zwykła, na których ublaganie jest wy-
znaczona.

Kochański.

Ja zaś miałbym zrywać tak słodki y
tak uszczęśliwiający przyjaźni wę-
zeł? Węzeł skrepowany przez tak długie
y naytęższe statku twego próby? . . .
Nie myślę bynajmniej o tym: Cnota
zadzierzgnęła ten węzeł, cnota go y
umocnić potrafi. . . Rodzice już zezwo-
lili, y powtorzyć są konsens gotowi.
. . . Podłych to tylko Amantow in-
teressowane serca rozprzegać zwyki
niedostatek, ale nie nasze bez inte-
ressu wierne, bez względow przychyln-
ne, y wzajemnością stateczną sobie
zniewolone. . . Ah jeżeli fałszywe
moich Ziomkow mniemania czy oma-
mienia raczey zdrowego rozsądku,
sprzeciwiać się będą moiemu przed-
sięwzięciu; jeżeli zważanie mego sta-
nu,

nu, opierać się będzie lubemu z tohą
ziednoczeniu się Marysju! znajome
mi są narody; uktorych w zawieraniu
ślubnych związkow, nie nie przy-
nosi wtydu; tylko sama niecnota;
złe nieprzyzstoyne postęпки życia,
y zelzonego panieństwa sromota;
toć w tamtych krajach, w tam-
tych narodach swobodnieyszego szu-
kać będziem dla siebie umieszcze-
nia. Klaryssa zechce nam dopomódz
kompaniy, Twoy zaś braciszek z naydzie
w twym przyzłym oblubieńcu mi-
łość zupełną dycia.

Marysia.

Ah dla Boga! alboż niewiesz, że ten
moy Braciszek już nie żyje, stawszy
się naypierw za głodu naszego y nie-
dostatku ofiarą.

Kochański.

Ah co słyszcie! an iakiż żal ciężki
czuję! y także nayukochańsze Ro-
dzicom dziecie, nędzy ich y niedostatku
żałosną uledz musiało ofiarą?.. Za-
łośna śmierć zaiste, ale przyczyna
śmierci żałosnieysza. . . Żyło w ubo-
stwie y oplakaney doli, zeszło z nę-
dzy y niedostatku tak dobre tak cno-
tliwe

łiwe dziecie, niechże przynajmniej kosztownie po śmierci spoczywa... Nie inaczej; niż bowiem mi przydzie porzucić oyczyne, wspaniały zwłokom jego na wieczną pamiątkę wystawię nagrobek, na którym oycowie inni żal Ojca twego, równie na sercu jego iak na kamieniu grobowym wyryty, a nie mniej y usprawiedliwienie jego postępkę czytać będą, a czytając, z żalem nie mniejszym niedolę jego opłakiwać, y rzesistemi łzami glaz ten smutny oblewać.

Marysia.

Niechże tedy ten twoy nagrobek połączy razem y Siostrę z bratem, niech będzie pamiętnym dowodem miłości wraz y przyjaźni. Idź już wspaniała duszo! oddal się odemnie nie szczęśliwey, która jeżeli tchnę iesz cze, to twoim szczególnie tchnę ożywioną widzeniem... Zegnam cię raz ostatni, okropna rozstania naszego przybliży się chwila, która mi z pierśi serce wydziera... oddal się odemnie... samo ten oblig na cię kładzie politowanie.

Kochaniński

Kochaniński.

Ah! iakież czuję w sobie niepokoję złą miłość z owąd zaś rozpacz burzliwa w sercu moim rozruchy nieci... Tu mi się zdaie statecznym wzajemney miłości oświadczeniem uszczęśliwienia mego Marysia szukać: a tu znowu niewczesnym żalów iakichsi rozspóścieraniem serce mi raniąc, zgubić mię usiłuje! Ach Marysiu! gdybys się mogła na takie ze mną odważyć rozstanie, azalibys też mogła zezwolić na oddłapanie kochaney Matki, która do ciebie ręce wyciąga.

SCENA III.

Ciż sami y KLARYSSA.

Klaryssa

Ah! Córko kochana! A ty nie szczęśliwy Przyjacielu! czy przystoi ci znajdować się w tym domu? (*Kochaniński dużo pomieszany odchodzi.*)

Marysia.

Y coż się dziecie z mym Oycem kochanym?

G

Klaryssa.

Klaryssa.

Bodaybyś nie utraciła z nim razem y Matkę! niestety! jedna mię w życiu utrzymywała iefzcze nadzieia, a y ta iuż odstąpiła.

Marysia.

Y także Pan Staruszkiewicz rzeczy tylko na pozor udawał, y oczy nam mydlił?

Klaryssa.

Nie czyni mu tey krzywdy Marysiu! Cokolwiek nam obiecywał, z dobrogo ferca obiecywał, każdy ktokolwiek ma ferce ludzkości y politowania pełne, a nie mniey do uczynności skłonne, niemoże pojąć, aby się mieli znajdować na świecie ludzie nie użyłci y nie miłośnierni. Krol nasz (rzekł mi) ma wnętrności do ulitowania otwarte nad cudzym niezczęściem, każdego z poddanych uszczęśliwić pragnie, których nie tak jest Panem, iak Oycem łaskawym, Oycem dobrotliwym... Na ten ogłos prawie powiżeczny, ośmieliłam się poysć na pałac. Za zwyczaj na dworach Pańskich, zadziwienie się Dworzan na widok osoby iakiey żalem napełnionej y ubo-

y ubogo odzianey, zdaie się pokazywać, że oni w rozkoſzy y wygody o-
plywający, taką osobę trzymają, za
dzikie iakieś stworzenie, albo za pod-
dła y odmiennego od swoiey gatunku
duſzę. Cożkolwiek bądź, uyrzałam
przecież kiedyżkolwiek tego dobrotli-
wego Pana, padłam mu iak długa do
nog, uſiłowalam wzbudzić w Nim
nad niedołą moją politowanie. Ale
czyż można mówić w żalach niezno-
śnych y ciężkiey boiaźni? sądziłam,
że podniosłszy oczy we łzach tonące
ku twarzy tego, miałam zmiękczyć
ferce... ali twarz iego powagi pełna,
trwogę iakąs wielką we mnie wzru-
szyla, żal mię zatym nieukoiony o-
garnął, y omdleć na mieyscu przyſzło.
A tu mię ludzie iacyś natychmiaſt por-
wą, y trzeźwić wodkami poczną.
W tym nasz Opiekun P. Staruszkie-
wicz ſzepnie mi do ucha ozięble:
wroc się W. M. Pani do Corki, y to
rzekłszy, zniknął mi z oczu w ciźbie.

Kochański.

Co mi WM. Pani mowisz? poſtępek
ten Dworski nie ſzykuie się do ſzczę-
rości Oycy mego.

G2

Klaryssa

Kl. ruffa.

Uyrzał snadź na czole Króla surowość, którą wymaga święta sprawiedliwość na przeciw zbrodniom. Uyrzał wzgardę y śmieszki Panow y Dworzan, a taki widok czyż nie miał przydusić podniecie w nim ludzkości? czyż nie miał przeto zawstydzic się swoiey kompańi? wyrzec się na koniec swoiey nad nami opieki?

Kochański.

To być nie może. Oyciec moy daleki jest od tych krokow, nie jest podobny do takich postępkow. Ale oto y sam przybywa.

SCENA IV.

Ciz sami y STARUSZKIEWICZ.

Staruszkiewicz.

Moy Syn w żalobie! a jakimże to?

Kochański.

Po moim przyjacielu. Serce moje nie zwykło się stosować do zdań popolitych umyślow, w wynurzeniu swoich sentymentow, a przeto idzie swoią drogą, wzgardziłem mniemaniem popolitym

litym iakieysi infamij złączoney z spowinowaceniem się z corką winowacy poczytanego za zloczyncę, ani to czynię dla pozyskania pyłzney w tym wieku wielkiego Filozofa reputacyi. . . Cnoto! wżechmocna Cnoto! co serce moje z sercem Maryli łączysz, ty sama gorujesz, ty sama mię wynosisz nad ludzkie mniemania podle, y ludzkości przyrodzoney uwłaczające. . . Ah Oycze nayukochadźzy! zawsze ci była Marysia miłą! dopieroż teraz w ostatnim stopniu nieszczęśliwości będąc, większych po Tobie z dobroci serca wygląda względow.

Staruszkiewicz.

Ah Synu! kochany Synu! uściskaj Oycę, który się nad tobą y twym postępkem zdumiewa. Nie mogę nie pochwalić twego zamyślu, pewien będąc, że przez skutek jego przy pomocy Boskiey między Ziomkami sławy nie utracisz. . . Przybyway co przędzey, przybyway kochany Panie Negdzarski.

SCENA

SCENA V. y OSTATNIA.

Wszyscy Aktorowie mówią razem wesoła.

Ah Oycze moy pożądany! Ah moy Meżu! Ah Corko iedyna pociecho moia! Ah serce moje nieofzacowane! Ah przyiacielu nieporównany!

Staruszkiewicz.

W toni ostatnich nieszczęść y w żalach ciężkich zanurzona Familio! oglądaj iuż z radością Pana swego, wolności, czci y stawie przywroczonego . . . à wiedz o tym, że go Krol Pan Nasz odtąd w swą bierze protekcya. Pan ten z przyrodzenia swego łaskawy y dobrotliwy łez swych utrzymać nie mógł, gdym mu nieszczęścia wasze wszystkie przekładał.

Wszyscy razem.

Ah! iaka odmiana! ah iakież uszczęśliwienie! niechże go Bog błogostawi.

Staruszkiewicz.

Nigdym w życiu moim takiego nie czuł ukontentowania! . . . Wszyscy łzami się zalewają, łzy te jednak z radości

dości serca płynąc, nie smutek ale wesołość, nie gorzkość ale stodycz każdemu przynoszą. Lecz oto y Syn moy płacze.

Nędzarzski.

Daymy iuż pokoy łzom tym radośnym. Chwila tak szczęśliwa, iaka nam niespodzianie na dniu dzisiejszym zaiśniała, cieszyć się zupełnie każe bez łez przymieszania . . . Raczey nayıerwsze dzięki oddaymy Bogu, ktory nas z utrapienia ciężkiego oswobodził, à potym Dobrodzieiowi naszemu, sprawcy naszego po Bogu szczęścia, Opiekunowi y łaskawcy. *[tu wszyscy przed nim na kolana padaią.]*

Klarysa.

Nogi ci Panie całować, łzami one oblewać z niepohamowanej radości; patrzyć na Ciebie iak na Anioła z Nieba zestanego będę! ale ach! iakże y te wyrażenia słabe niewymowney nazfey ku tobie wdzięczności!

Staruszkiewicz.

Wstyd mi czynicie Państwo moie! tym waszym ze mną postępowaniem oczom moim niezwycaynym: przebog! powstańcie z ziemi. Nicem nad

to nie uczynił, tylko coby każdy mógł uczynić; y co czynić w takim razie powinien. Wszakże to rzecz przyrodzeniu ludzkiemu istotna, podać w nieszczęściu rękę, ratować upadłego. . . Czyż może być lepsza za przyługę komu nadgroda, iak ukontentowanie serca, ktore każdy czuje, ktokolwiek chciał, mógł, y potrafił w czym się bliżniemu swemu przyśłużyć.

Kochański do Nędzarzkiego.

Ty zaś Przyjacielu Kochany! czy zechcesz naśladować Oyca mego najmilszego dobroci, ktory łaskawie zezwala na złączenie się moje z pieśczętą serca mego Marysią? czy zechcesz równym zezwolenia z swoiey strony skutkiem, żądz moich miarę y szczęścia dopełnić?

Nędzarzki.

Poczekay Synu! a coż powiedzą uszczypliwych ludzi języki, wiedzących dobrze moje ucilki y twoy ze mną postępek; zapewne wżyscy naganią ci te zamyśły, złączą się zniemi podobnym zdaniem przyjaciele twoi, spikną się kolligaci, y swemi kształtnemi inlynuacyami, pozornemi perswazyami

zyami osłabią twoie do nas przywiązanie. W ten czas ty będziesz sobie stodził swobodne życie, y będziesz mi mocno dziękował za tę radę, wybiwży sobie tę miłość z myśli, ktorey cię teraz stodkie powaby łechcą. . . Poczekay kochany Panie Kochański, ieżeli czasu pora, y ludzka namowa, czy też cenzura, nieodmieni serca twego, przyrzekam że ci dam chętnie Cerkę za Towarzystkę dożywotnią, y poczytam się nader szczęśliwym, zem ci po tytu nieszczęściach, troskach y kłopotach, powierzył w depozyt dozgonney przyjaźni osobę w życiu moim nayukochanizą.

Kochański.

Jakże mię tą swoią mową trapisz kochany Przyjacielu, y szczęście moje wraz z życiem truiesz, gdy mi tak przykrą radę podajiesz; rady ia serca własnego słucham, ktoremu ani zdania ludzkie częstokroć mylne, ani cenzury żadne praw przepisywać mocy nie mają.

Staruszkiewicz.

Nie frasuy się moy Synu, w ten dzień życia mego naywefelszy. Po trafig

trafię ja w to, że ci się zbliży ten przedko moment, który cię zupełnie uszczęśliwić zdoła . . Tym czasem Mci Panie Nędzarzki racz się do domu mego przenieść z całą swoją Familią?

Nędzarzki.

Przepraszam, nie wszystka się tu jeszcze znajdzie (*chce pójść uściśkać synka, ale go Klaryssa zatrzymuje, w tym drzwi na pół otwarte dała mu widzieć trumnę. Po krótkiej pauzie zadumienia*) Ah! iakżeś nie użyte dla mnie Niebo! życie mi na zawsze goryczą napelniał przez utratę iedynaka . . . Ah Zono! kochana Zono! iakże krótką dla mnie ta nagła radość kończy się chwilą?

Staruszkiewicz.

Trzeba cię Przyiacielu oderwać od tego widoku. Synu gwałtem zaprowadź Przyiaciela twego do domu, za którym dobrowolne tamże oblubienica twoja ponieśie kroki? A zaś WM. Pani czci godna Klarysso! zezwol uczynić tę mi konsolacyą, którą na schyłku dni moich chętnie oglądać pragnę.

Marysia

Marysia.

ô Boże! ô cuda Twoiey Opatrzności? uwolnienie Oycy od śmierci: opieka dobroczynna Tefzcza: zupełny serca mego z sercem kochanka związek, zgola wszystko razem w oczemgnienu. Przebog! czy to tylko za ten poczytać nie przydzie?

Klaryssa.

ô Dobroci wielu serc ludzkich! y czemuż nie w wszystkich sercach powszechnie panujesz? Nieprawiedliwość, bezprawia, gwałty, uciski, ciężliwości, ustąpiłyby od plemienia ludzkiego za twoim panowaniem, ustąpiłyby krwawe wojny, y za niemi idące gniewu Bożego plagi.

K O N I E C .



PRZY-

PRZYPISKI EDYTORA

Pod niebytność Authora.

I.

Obraz ten ńgdzy ludzkiej dotkliwie wydaie
Authora Serce, z piśma poznać obyczaje,
Poznać y Rękę, która byż dwakroć powinna
Uczczona: że uczona iest y dobroczynna.

II.

Ktokolwiek do litości skłonne czuje Serce,
Nie może mieć ten Obraz ńgdzy w ponie-
wierce,
Chybaby nie użytym y nie czułym razem
Zgoła był malowanym Człkiem, ni
obrazem.

III.

Ile ludzi, obrazow tyle iest na świecie,
Wszak Człek każdy na obraz iest boski stwo-
rzony.
Ktokolwiek ńgdzę ludzką widzi wrym portrecie,
Nad obrazem bliźniego swego nie wzruszony,
Ilekroć to więc czyni, Boski tyle razy
Obraz w sobie zaciera, a nie bez obraży.

